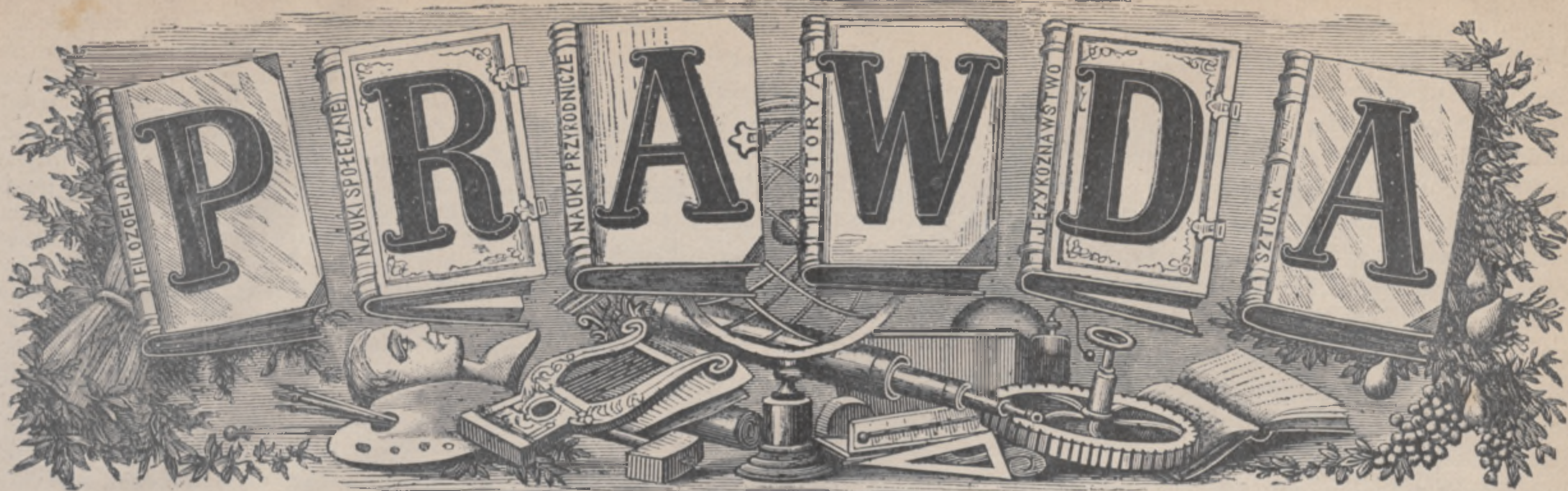
№ 8. Warszawa, dnia 23 (11) Lutego 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Zwracamy uwagę na zamieszczone w dzisiejszym numerze ogłoszenie „dla abonentów **Prawdy**.“

PŁACZĄCE KROKODYLE.

Dziś zajmiemy się teoryą, a raczej sprawami, które mogą tylko rozszerzyć naszą... wiedzę. Weź, czytelniku, do ręki kartę Egiptu i naprzód przypomnij sobie z nami kilka szczegółów geograficzno-politycznych.

Przed pół wiekiem francuz przywiózł Mehemetowi-Ali nasienie bawełny z Sudanu. Chciwy łupów władca Egiptu, pobudzony taką przynętą, rozpoczął szereg zuchwałych wypraw do niepodległej krainy, którą wreszcie, dzięki szczęśliwie posianej niezgodzie między plemionami, zdołał opanować. Wtedy z obozowiska powstało miasto Chartum. Za następców Mehemeta władztwo Egiptu posuwało się coraz dalej, aż w r. 1874 oparło się od południa na równiku, zamknąwszy w sobie cały Nil.

Prowincye Sudanu są wogóle dosyć biedne. Skąpo rosnąca trawa zdoła zaledwie wyżywić trzody arabskich nomadów. Środki też komunikacyjne są bardzo utrudnione. W miesiącach letnich wielbłąd może nieść 400 funtów, ale musi co trzeci dzień dostawać wodę. Podczas chłodów i w okolicach gęściej trawą okrytych potrzebuje napoju zaledwie co 14 dni. A odległości są wielkie: od Korosko do Berberu (obecna droga gen. Gordona) 450 kilometrów; Gondokoro od Chartumu 2,200! Do ostatniego ma być poprowadzona kolej z Suakimu (na wybrzeżu Morza Czerwonego), której podstawa jest bardzo wątpliwą, gdyż cały przywóz tego miasta (w r. 1881) wynosił 240,000 funt. szt. a cały wywóz (kość słoniowa, guma, kawa i bawełna) zaledwie 260,000 f. sz.

Ten to kraj jest obecnie polem tryumfów Mahdiego oraz rzezi jego hord i głównym przedmiotem uwagi politycznej w Europie. Zwycięskie posuwanie się „proroka,“ który rozbił już kilka armij egipskich i grozi zaborem Egiptu a co najmniej obcięciem targowisk angielskich — wywołało na miejscu trwogę, w Anglii burzę, a w innych państwach bądź niepokój, bądź złośliwą radość. Oskarżono Gladstone'a o nieudolność, politykę jego napiętnowano w Izbie lordów, a gdy jedna część prasy europejskiej nazywa go przewrotnym kartagińczykiem, który pod humanitarnym płaszczem kryje drapieżną chciwość, druga mianuje go niedołęgą. Podobno nawet do tej ostatniej opinii przychyla się ks. Bismark.

Jakimże jest właściwie Gladstone?

Poznajmy naprzód — Gordona, bohatera obecnej chwili, jadącego uspokoić burzę. Osobistość to niezwyczajna: szkot z pochodzenia, generał angielski z przydomkiem „chińczyk,“ jest nadto mandarynem pierwszej klasy, paszą i jedynym na świecie chrześcianinem, za którego mahometanie wznoszą modły do Allaha w swem najświętszem mieście. Już wybitnie odznaczył się podczas wojny krymskiej, jako śmiały i pomysłowy oficer, o którym jego zwierzchnik mówił: „ile razy chcemy dokładnie wiedzieć, co zamierzają rosyanie, posyłamy Gordona.“ Po ustaleniu granic wrócił do Anglii (1860 r.) a następnie wysłany został do Chin, gdzie miał zebrać główne swoje wawrzyny. Państwo Niebieskie toczyło wojnę z Francyą i Anglią. Gordon*) brał udział w marszu na Pekin i był świadkiem pożaru pałacu letniego, który tak opisuje w liście: „Nie możesz mieć żadnego wyobrażenia o kosztownych i pięknych budynkach, które zapaliliśmy. Jak wandale zniszczyliśmy własność i skarby wartości 4 milionów f. szt. Serce mi się krajało, gdy patrzyłem na te płonące gmachy. Było ich tyle, że nie mieliśmy nawet czasu dostatecznie ich zrabować... Była to haniebna, demoralizująca wojsko praca. Wszyscy myśleli tylko o grabieży.“ Po skończonej kampanii zajął się pomiarami, docierając tam, gdzie nigdy noga europejczyka nie stanęła (np. do muru chińskiego). Nadeszła wreszcie chwila, w której Gordon odniósł największe tryumfy i pozyskał godność mandaryna pierwszej klasy, stłumiwszy powstanie tepingów.

Pewien nauczyciel chiński, nazwiskiem Hung-tsue-szuen, obznajomiony przez misyonarza z zasadami chrześciaństwa, założył sektę (około r. 1850), która była mieszaniną nauki Chrystusa, mistycyzmu i socyalizmu. Jak lawina rosła liczba jego współwyznawców, (którzy się nazwali *tepingami*), pod wodzą swego „króla państwa niebieskiego i cesarza wiecznego pokoju“ opanowali oni południowe Chiny, nie spotkawszy dostatecznego oporu. Do r. 1860 wojna toczyła się bez zewnętrznego uczestnictwa. Nareszcie Anglia ujrzała się zmuszoną pomyśleć o „ubezpieczeniu swoich interesów“ i wtedy nad niekarną, do łupiestw zaprawioną zbieraniną, śród najokropniejszych warunków objął główne dowództwo Gordon, który rzeczywiście dowiódł nietylko wielkiego męstwa, ale nadto właściwej mu zacności charakteru.

Wspominamy o tych szczegółach dlatego, ażeby nimi zarysować charakterystykę człowieka, który ma rozciąć węzeł, spleciony nad Nilem. Gordon, jak to świadczy zresztą przywiedziony urywek z jego listu, niema w swych żyłach krwi prawdziwego John Bulla, a jak przekonywają liczne świadectwa, nie kocha się w rzeczach, gra-

*) Szczegóły te z dzieła A. Egmonta Hake *The story of Chinese Gordon* podała *Wien. Allg. Ztng.*

bieżach i całem tem rzemiośle, które prowadzi do nabytków terytoryalnych lub otwierania nowych dróg handlowych. Jest to potrosze uczciwy marzyciel. W nowej swojej podróży napisał na statku memoryał, w którym przedstawił swój plan uspokojeniu Sudanu. Chce on usunąć wojska egipskie, ogłosić prowincye tego kraju niezależnemi i pozostawić ich władcom swobodę rządzenia się samodzielnie lub poddania się Mahdiemu.

Gladstone projekt ten przyjął i ściągnął na siebie burzę — gniewu w ojczyźnie a śmiechu w Europie.

Rzeczywiście, tak przywykliśmy do zupełnie innych metod w polityce, tak oswoiliśmy się w niej z gwałtem lub podstępem a nadewszystko z żądzą zdobywczą, że zamiar usamowolnienia ludów, które mogą być ujarzmione, wydaje nam się czemś dziwnem. Mówimy nam, bo i w naszej prasie dano Gladstonowi kilka lekcyj roztropności, których on, niestety, nie usłyszał. Gazety niemieckie, zdumione takiem bezinteresownem postępowaniem ministra angielskiego, ostrzegają dotąd przed *punica fides* i wróżą podejrzliwie, że przebiegły John Bull chce usunąć wojska egipskie z Sudanu dlatego, ażeby później wsadzić tam swoje. Nie ufają temu widocznie dzienniki angielskie, bo kpają swój rząd najobelżywszemi słowami.

Tu więc miejsce na odpowiedź, kim jest Gladstone?

Jest to mąż stanu rzeczywiście najmniej pohopny do zaborów. Wypiastował on sobie w duszy kilka bardzo czystych ideałów, które z polityką *praktyczną*, albo — według innego słownictwa — *realną* nie mają nic wspólnego, i pragnąłby je w życie wcielić. Nie jest on jednak tylko filozofem, ale także ministrem i to ministrem jednego z najchciwszych i najbardziej nienasyconych narodów: musi więc dbać o jego korzyści materyalnej wiecznie głodnym ziomkom rzucać od czasu do czasu jakąś zdobycz. Stąd w jego wywodach mieszanina ideologii z wyrachowaniem kupieckiem, stąd ta chwiejność w planach i niedołęstwo. Nie radby okrwawić swej ręki nowymi zaborami, ani obciążyć sumienia nowem matactwem, ale na tę drogę pcha go tradycya, naród, otoczenie, prasa. Bo co to za prezes gabinetu, który chce ludy wyzwalać, kiedy je opanować może? Taki wyrzut przebija się ze wszystkich skarg rozmaitego rodzaju małych i wielkich *Timesów*. Są to krokodyle, płaczące nad niebezpieczeństwem europejczyków w Egipcie osiadłych, nad krzywdami cywilizacyi, nad wszystkiem, co szumnie brzmi, a nisko spada. A właściwie łzy sączą się z gruczołów bezdennej żarłoczności państwa, które zapakowałoby w swe wory i sprzedawało powietrze, gdyby je z przestrzeni wypompować zdołało. Sudan nie ma skał dyamentowych, ale i z niego dadzą się wyciągnąć zyski — trochę kości słoniowej, kawy i bawełny—po co je zostawiać dzikim hordom lub cywilizowanym współzawodnikom?

Nie ulega też wątpliwości, że polityka Gladstone'a, zbyt marzycielska i moralna, słabo zaprawiona egoizmem, nie wpada w takt instynktów angielskiego narodu i że gdyby arką brytańską kierował Beaconsfield, nie wysłałby nad brzegi Nilu gołębia z rószczką oliwną, ale kruka.

Zresztą czekajmy: może Noe zrobi ustępstwo dla swej — załogi.

KREDYT WŁOŚCIAŃSKI.

II.

Dziś już dwumilionowa masa bezrolnych z każdym rokiem mnożyć się będzie w rosnącym stosunku, bo oprócz naturalnego przyrostu dostarczą jej nowych zastępów małorolni. Cały przybytek ludności tej kategoryi bezwątpienia odpadnie do szeregów proletaryatu. Kwestya więc zabezpieczenia jego bytu, czyli „unarodowienia“ ziemi, jak powiadają anglicy, występuje na pierwszy plan. Jeżeli z obecnych okoliczności wolno jest wróżyć na przyszłość, proces ten odbędzie się drogą ciągłego, stopniowego drobienia większych obszarów; banki włościańskie w tym wypadku, dostarczając nabywcom kapitału, znakomicie ułatwiają i przyśpieszają zadanie. Kraj, w którym $^3/_4$ mieszkańców oddaje się rolnictwu, w normalnych warunkach rozwoju stać się musi krajem chłopskich gospodarstw. Konieczność to nieunikniona, a dla nas — pożądana. Naiwnie wierzący w posłannictwo społeczne większej własności mogą prądowi temu stawić niedołężnie sklecone tamy, nie powstrzymają jednak przyrodzonego biegu rzeczy. Nie uratują od tego losu większej własności ani polepszona uprawa ziemi, ani zastąpienie produkcyi zbożowej hodowlą inwentarza. Niski kurs rubla, najlepszy jej sojusznik, również wiecznym być nie może.

Wzrastające wciąż współzawodnictwo Ameryki pozbawia nas widoków produkowania na wywóz, zresztą zwiększająca się z każdym rokiem ludność dostarczy na miejscu spożywców. Pozostaje więc nam tylko wstąpić na drogę, po której poszły Szwajcarya, Norwegia, a w części Niderlandy i Francya, idziemy w tym kierunku względnie nawet dosyć szybkim krokiem, i dziś troskać się winniśmy jedynie o uregulowanie tego objawu i taką jego organizacyę, która pozwoliłaby zachować dla gospodarstwa krajowego pewne dobre strony i nabyte już korzyści wielkiej uprawy.

Nawet ludzie, stojący na stanowisku większej własności, nawet ci, dla których wytwarzanie nie stanowi środka, lecz cel gospodarstwa krajowego, przyznają, że częściowa parcelacya jest dziś pożądaną. Projektowany bank włościański ma właśnie ułatwić to zadanie. Nie należymy bynajmniej do tych, którzy w imię oderwanej teoryi chcą gwałtem ciągnąć rzeczywistość do poziomu swych ideałów, chociaż więc zakres działania banku sprowadzamy do właściwej normy, witamy jednak myśl jego urzeczywistnienia przychylnie.

Kapitału dostarczy na początek t. z. fundusz użyteczności ogólnej wynoszący $3\frac{1}{2}$ mil. rubli i jeżeli pierwsze operacye powiodą się szczęśliwie, w miarę potrzeby wypuszczane być mają obligacye rządowe. *Dziennik* proponuje, żeby z początku przeznaczyć rocznie tylko 1,000,000 rubli, z obawy, że inaczej cena ziemi znacznie może pójść w górę. Obawa ta wydaje się nam płonną. 100,000 rs. na jedną gubernię — to zaledwie cena dwóch średnich majątków, nawet trzy razy większa suma nie wywołałaby gwałtownej zwyżki cen.

Szczupłość wyznaczonego w pierwszych latach funduszu znaleźć może tylko usprawiedliwienie w niepewności, czy działania

---

5)

Wspomnienia o Heinem.

— Mówię panu to wszystko—rzekł, przyznawszy się do zapomogi — ponieważ wiem, że pański przyjaciel Considérant w bardzo dobrych jest stosunkach z Molém i ponieważ pan znasz Duranda, z rue Bleue, ajenta króla i pośrednika jego przy Berryerze. Nie zdradzam ani ojczyzny, ani wolności. Byłem szczerym republikaninem, lecz gdy widziałem, jak fusy mego stronnictwa deptały mię brudnemi nogami, nogami partaczów szewckich i druciarzy n... ów, tykały mię, jak nazywały mię zdrajcą i żydem i dyktowały mi prawa, zanimby mię mogły zgilotynować, gdyby władza kiedykolwiek tak nisko, bo aż do nich, upadła; gdy widziałem, jak te żaby z pod płotów i kałuż krzyczały do swych ropuch, że ich skrzeczenie republikańskie miało daleko więcej wartości poetyckiej i było trwalsze od mych pień słowiczych, odwróciłem się od nich z niesmakiem i zbliżyłem się do królewskości konstytucyjnej, która mi wystarcza, której mam nawet za dużo. Zachodzi jeszcze inna przyczyna, oddalająca mię od tego stronnictwa skrajnego, a mianowicie republikanie niemieccy, którzy w charakterze *teutonistów* zaciekłych domagają się zwrotu Alzacyi, jako części składowej Niemiec. Wiesz pan przecie, ile ich kocham! Jak gdyby nie dość było hofratów, jak gdyby mieszkańcy prowincyj nadreńskich, w których się urodziłem, nie byli pewnego rodzaju skazańcami pruskimi. Powiedziałem gdzieś, że judaizm nie był religią, lecz nieszczęściem, powinienbym raczej powiedzieć — judaizm niemiecki. Nie podzielam pychy niby patryotycznej mego niegdyś przyjaciela, Boernego. Gdyby się mnie radzono, kiedym przychodził na świat, wolałbym się urodzić we Francyi, pomimo to, że biały wiersz w poezyi francuskiej nie zna jambów. Skoro się urodziłem niemcem, trzeba być niemcem, lecz zanim zapragnę innych zrobić takimi i każę im z tego być dumnymi, staram się dowieść, żem więcej od nich wart, żem wolniejszy, bardziej ludzki, bardziej boski niż oni i że moje tragedye mniej są nudne niż ich*). Mówię panu wszystko to, ponieważ jesteś przyjacielem, i w rzeczywistości strasznym małym despotą. Zresztą, niktby nie wierzył, żem panu o tem mówił, i nie masz, prócz mego przyznania, innych na to dowodów.

— Ależ dowiedzą się o tem prędzej czy później i podniesie się tylko jeden krzyk—potępienia. Po jakiego dyabła zresztą potrzebowałeś się pan dać wciągnąć za tak nędzną sumę? Czyż nie zarabiasz pan na życie?

— Na moje—tak, lecz nie na życie Matyldy. Znasz, słowa Juvenala: szukaj kobiety (bo powiedział je Juvenal). Nawet temi sześcioma tysiącami franków opędzić się nie zdołam. Nie wszyscy mogą, jak pan, żyć za sto franków miesięcznie, z metresą, którą się raczy pomarańczą. Zresztą słuchaj pan, co ci powiem, a mówię tobie, ponieważ nie mogę mówić do samego siebie i ponieważ z wszystkich mych przyjaciół, sławniejszych od pana, na ciebie tylko mogę liczyć. Udało ci się urodzić francuzem po rewolucyi dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Jako takiemu wolno ci być republi-

*) Rzeczywiście, po r. 1848, pierwszym okrzykiem republikanów z poetą Herweghem na czele, były wyrazy: *Alzacya do nas!* Prawda, że Herwegh dobrze odpokutował tę pomyłkę i że umarł jako wróg śmiertelny Bismarka. Ambasadorem naszym we Frankfurcie był podówczas parobek niemiecki, nazwiskiem Savoie, kreatura Bastide'a, który się tylko układnie uśmiechał do stronnictwa radykalnego niemieckiego. Ostrzegałem o nim Lamartine'a. — Czego pan chce—odrzekł—Bastide'owi zależy na nim.

banku udadzą się, czy nie. Pierwszeństwo w otrzymaniu pożyczki mają bezrolni; przestrzeń, jaką każdy kupić może, ograniczoną być musi stosownie do warunków gruntu, nie powinna jednak być mniejszą nad 6 a większą nad 15 — 20 morgów. Ponieważ celem banku jest zabezpieczenie bytu najbiedniejszej części ludności, słuszna więc, żeby pożyczka dawaną była na całą wartość gruntu, co średnio wyniesie na rodzinę około 600 rs. Jeżeliby kapitał zakładowy nie został zwiększony obligacyami rządowemi, działalność przyszłego banku zeszłaby do bardzo skromnych rozmiarów, bo po upływie dziesięciolecia zaledwie 10,000 rodzin włościańskich znalazłoby zabezpieczenie bytu. Przyrost naturalny ludności wynosi daleko więcej, trzeba zaś przyjąć pod uwagę, że przemysł, choćby nawet rozwinął się normalnie, tak wielkiej ilości rąk nie przyciągnie, a liczba czeladzi dworskiej odpowiada w zupełności potrzebom gospodarstw i po za tę naturalną granicę przejść nie może.

Ale nawet gdyby rząd przyjął współudział w tym dziele kredytowem, nie może on odrazu wypuścić obligacyj na wielką sumę, bo, pomijając już względy finansowe, podniosłoby to nadmiernie cenę ziemi. Kręcimy się więc tu w zaczarowanem kole: z jednej strony szczupły rozmiar pożyczek nie pozwala na osiągnięcie głównego celu i osłabia doniosłość przedsięwziętych środków, z drugiej strony — rozszerzenie zakresu działania instytucyi na większą skalę, niekorzystnie odbija się na jej interesach. Jest to zwykły los wszystkich półśrodków, ale ponieważ liczymy się z rzeczywistością, musimy brać rzeczy, jakiemi są. Trudno określić maximum corocznie udzielanych pożyczek, najlepiej okaże to doświadczenie, ale sądzimy, że przynajmniej 3 lub 4 miliony na ten cel użytymi być powinny, bez obawy złych następstw.

Koniecznem jest zdanie sprawy z możliwego zakresu działań banku. Nie należy łudzić się, że rozwiązuje on kwestyę rolną u nas, której nawet uwłaszczenie chłopów rozstrzygnąć ostatecznie nie mogło. Zabezpieczenie bytu wiejskiego proletaryatu pozostaje zadaniem palącem i zmusza społeczeństwo do szukania innych jeszcze środków. Przemysł fabryczny chociażby rozwijał się pomyślnie da zatrudnienie ledwie tysiącom; skuteczniejszym w większej mierze byłby rozwój przemysłu domowego. Dla emigracyi wewnętrznej zamknięte są najwłaściwsze drogi i na otworzenie ich w bliskiej przeszłości liczyć trudno; emigracya zaś zewnętrzna ani dla rządu, ani dla społeczeństwa pożądaną być nie może; sprzeciwiają się jej zresztą zarówno prawa, jak i interes państwa, dotychczas jeszcze słabo zaludnionego. Zaznaczamy te zagadnienia, ponieważ one pośrednio tylko wiążą się z roztrząsaną przez nas sprawą, ale spodziewamy się, że jaki improwizowany socyolog wynajdzie odpowiednią formułę, rozwiązującą zadanie zapomocą wywozu... bigosu w puszkach, albo handlu na wielką skalę jagodami leśnemi.

Wykreśliwszy granice, w których bank działać będzie zmuszony, sprowadziwszy znaczenie jego do właściwych rozmiarów, wracamy do treści przedmiotu. Praktyka dopiero wskaże szczegółowe sposoby udzielania pożyczek, oznaczy ich wysokość itp. Są jednak kwestye, które z góry powinny być przesądzone; do tych należą odpowiedzialność dłużników i organizacya kredytu. Istniejące prawo hypoteczne i ustawy Towarzystwa kredytowego utrudniają w wysokim stopniu możność częściowej sprzedaży majątku, zmiana konieczna w tym wypadku zaprowadzona być może jedynie drogą prawodawczą. *Dniewnik*, obeznany widocznie z brzmieniem projektu, utrzymuje, że każdy dłużnik odpowiedzialnym będzie osobiście, ponieważ poczucie solidarności i własność wspólna obce są krajowej ludności. Gdyby nawet tak było, to nie ulega wątpieniu, że owo poczucie wyrabia się i ujawnia w pewnych warunkach, nie jest ono tak obcem polskiemu chłopu, jak ktoś sądzi, i przy sprzyjających okolicznościach odrodzi się i umocni. Można wskazać nawet pokrewne przykłady. W Małorosyi forma osobistego władania ziemią jest również powszechną, a jednakże pod wpływem pewnych okoliczności objawia się tam zwrot w pojęciach ludu i ostatnimi czasy przechodzenie od własności jednostkowej do gminnej trafia się dość często. Niemcy koloniści w gubernii samarskiej, zachęceni przykładem sąsiadów, przyjęli również w niektórych miejscowościach tę formę własności. Ale nawet były wypadki, że koloniści, kupując majątek, nie dzielili go, lecz gospodarowali wspólnie. Jest to już wyższy stopień stowarzyszeń rolnych, bo oparty na podziale produktów. Zgadzamy się, że własność gminna z rozdziałem peryodycznym gruntów nie jest wcale idealną formą posiadania, nie żądamy też wprowadzania jej, ale stowarzyszenia rolne, prowadzące gospodarstwo wspólne, nie wydają się nam niemożliwemi.

A znakomicie uprościłoby to kwestyę! Pożyczka Towarzystwa pozostaćby mogła na gruncie, egzekucya należności i podatków zostałaby ułatwioną, wreszcie, co najważniejsza, ulepszenia w uprawie i budowle nie poszłyby na marne. Jedynym zarzutem, jakiby można zrobić, jest brak wykształcenia w wspólnikach, ale i on usunąć się daje. Choćby zresztą z początku gospodarka szła kulawo, powoli stosunki ułożyłyby się pomyślnie. Posiadają przecie włościanie nieraz na wspólną własność lasy i pastwiska itp. i umieją sobie radzić. Zapewne, kto zaleca parcelacyę tylko zbywających gruntów, może się z tem niezgodzić, ale kto jest przekonany, że los ten czeka z konieczności rzeczy cały obszar większej własności, przyznać musi, że stowarzyszenia rolnicze są najlepszem, jedynem może wyjściem. Trudno dziś spodziewać się, żeby pogląd taki znalazł możność natychmiastowego urzeczywistnienia, ale ustawa banku w żadnym razie nie powinna stać na przeszkodzie zamiarom nabywców, gdyby chcieli prowadzić wspólne gospodarstwo, i nie narzucać im gwałtem indywidualnej własności, kiedy jej braki powszechnie zostały uznane. Wspólność lasów pozostaje warunkiem *sine qua non*, jedynem zabezpieczeniem ich od nierozmyślnej trzebieży, czego domagają się względy ogólnej kultury. Przy nabywaniu całych majątków wspólną własnością staną się również młyny, zakłady przemysłowe itp. dlaczegóż więc nie rozszerzyć tej wspólności i do gospodarstwa rolnego? Powtarzamy, w pierwszych latach, kiedy nabywanie ziemi ograniczy się do zbywających gruntów folwarcznych, potrzeba takiego urządzenia stosunków nie występuje jako konieczność nagląca, stanie się ona jednak nią wtedy, gdy z kolei rzeczy włościanie nabywać zaczną urządzone majątki. Prędzej lub później, ale nastąpić to musi; lepiej więc jeżeli ustawa banku przewidzi tę okoliczność, aniżeli gdyby miała stać jej na zawadzie i krępować główny cel instytucyi — uposażenie ziemią włościan.

Kierownictwo operacyami banku ma być powierzone komisarzom włościańskim i odpowiednim władzom gubernialnym. Przeciw temu projektowi wystąpiliśmy w swoim czasie, szczegółowych argumentów więc powtarzać nie będziemy. Dodamy tylko, że dziwnem wydaje się nam zalecanie *Dniewnika* oddania tej sprawy instytucyi, która, jak się okazuje, poruczonego jej przy bardziej sprzyjających warunkach zadania odpowiednio spełnić nie umiała i o której

---

kaninem, falansterzystą, legitymistą lub komunistą. Ale ja — jestem niemcem. Gdybym był poetą francuskim, żyłbym jak Musset, Hugo i Gautier, pisałbym romanse i sztuki teatralne, lub rzuciwszy się do polityki, byłbym deputowanym lub czemkolwiek! Lecz jestem niemcem. Francya nietylko udziela mi wspaniałomyślnie gościnności, abym w niej żył swobodnie i szczęśliwie, ale jeszcze służy mi za wał lub fort wysunięty naprzód.

VII.

Niema nic odosobionego w życiu ludzkiem. Jak niema ciała bez duszy i duszy bez ciała, tak życie duchowe wiąże się z materyalnem. Urodzenie, wychowanie, spędzenie lat dziecinnych, otoczenie, w którem się wzrosło — wszystko to łączy się z życiem intelektualnem, które rozwija się później zgodnie z rozumem lub pomimo jego. Zawsze się jest synem swych rodziców. Stąd to wynika, że podrzutki, wychowani po za rodziną, bez względu na swe talenty, nie wywierają nigdy wpływu zbawiennego na społeczeństwo, śród którego żyją, chociażby zajmowali najwyższe stanowiska.

Heine był synowcem osławionego bankiera Salomona Heinego w Hamburgu. Rodzina jego, wobec tego bankiera, mogłaby być zaliczoną w poczet *parents pauvres* Balzaca. Heine, pomimo swej miłości dla matki, nie lubił mówić o swej familii. Nie mówił także nic o dwu braciach, również jak on chrzczonych, z których jeden był w służbie rosyjskiej, drugi zaś redagował lichą jakąś gazetkę w Wiedniu. Prawdopodobnie wuj ponosił koszta jego wychowania. Henryk urodził się w Düsseldorfie, ostatniem mieście niemieckiem nad brzegiem Renu. Cesarz francuski, który długo się wahał w sprawie żydów, został wreszcie ich przyjacielem i protektorem. Był zachwycony tem, że mógł ich zaciągnąć do swej armii. Wszędzie, od Rewolucyi, gdzie tylko wkraczała zwycięska armia francuska, żydzi niezwłocznie ogłaszani byli jako obywatele i zaczęli używać praw politycznych i cywilnych. We Frankfurcie, kiedy wszedł do miasta Custine, nakazał wyrwać deski w miejscach spacerowych z napisami: „Świniom i żydom wejście wzbronione!“ Istnieje w języku hebrajskim poemat epiczny pt. *Cesarz Napoleon*, którego autorem był ojciec kompozytora Halevego i który jest prawdziwem arcydziełem pod względem języka. Od czasów Izajasza nikt nie pisał po hebrajsku z taką łatwością i mistrzowstwem. Heine, który w owych czasach był jeszcze dzieckiem, przypominał sobie tę epokę zarazem z uczuciem szczęścia i boleści. Poczerpnął z niej żywe przywiązanie do Francyi i uczucie nienawiści do Prus, do których odpadła nieszczęsna prowincya i które nazajutrz po objęciu jej w posiadanie odjęły żydom wszystkie prawa, jakie im przyznał był Napoleon.

Wuj Salomon był jednym z tych starych żydów, zresztą dobroczynnych, którzy znają tylko w życiu dwie potęgi, dwu bogów: jednego nienamacalnego, który zwie się Jehową, drugiego arcynamacalnego, któremu imię Mamon czyli pieniądz. Dla starego judaizmu nauka miała tylko za cel znajomość Tory i Talmudu. Nie znaczy to bynajmniej, że Talmud nakazywał ją dla zyskania środków życia; przeciwnie, zabrania on tego. Nie chce, aby nauka służyła za sposób zarobkowania i większość rabinów zajmowała się bądź to rzemiosłem, bądź handlem, ucząc Zakonu darmo. Ci, których wynagradzano za to, opłacani bywali nędznie. Żydzi nigdy nie mieli innej literatury, prócz badań Zakonu bożego i praw natury. Od pierwszej rzeczypospolitej po Jozuem nie posiadali innych śpiewów prócz religijnych, a szkoła proroków była szkołą poetów i filozofów moralizujących. Nie stworzyli ani powieści, ani sztuki teatralnej. Teatr ich był w świątyni, gdzie setki lewitów, wychowanych i wykształconych na śpiewaków i muzy-

kompetencyi taż sama gazeta powiada, że komisarze w uwagach swoich o projekcie banku włościańskiego „wykazali zasadnicze różnice w zapatrywaniach.“ Pomijamy koszta utrzymania niepotrzebnej już dziś prawie władzy i zwracamy uwagę jedynie na kwestyę prawną, że Towarzystwo kredytowe ziemskie, przeznaczając fundusz użyteczności ogólnej na cele, które rząd ma bliżej określić, nie zrzekło się bynajmniej prawa administrowania nim. Jemu więc powierzonem być powinno to zadanie i obowiązkiem jego władz naczelnych jest przypomnienie o swych prawach we właściwem miejscu i czasie. Długoletnia rutyna, powaga finansowa i współudział miejscowej inteligencyi ziemiańskiej przemawiają za tem, również jak i względy praktyczne.

Rozumie się, że niezbędną jest ścisła kontrola. Potrzebne organy wykonawcze z łatwością mogłoby Towarzystwo wytworzyć, a charakter tej instytucyi, opartej na zasadzie wzajemności, pozwoliłby jej z biegiem czasu stać się ogólnym bankiem rolnym. Jeżeli jest mowa o „posłannictwie obywatelskiem“ ziemian, to szczytniejszego dla nich i korzystniejszego dla kraju nad pomoc młodszym braciom i zrzeczenie się na ich korzyść uprzywilejowanego stanowiska — znaleźć trudno. Są okoliczności, w których abdykacya — jest największą cnotą i zarazem — najlepszym interesem...

J. L. P.

WYSTAWA Dr. DYBOWSKIEGO.

Jeśli potrzeba przepisać jakieś skuteczne lekarstwo na wzmocnienie nadwątlonych sił naszego społeczeństwa, z pewnością najskuteczniejszem będzie to, że powinniśmy się uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć. Jeśli muzy pędzą swój ciężki żywot, od czasu do czasu podupadając na zdrowiu i ratując się sztucznymi środkami, to najpotrzebniejsze nam bóstwo Athene, dla której ołtarze winniśmy pracowicie stawiać w każdej wieśniaczej izbie a ofiary składać nawet z bohaterskim wysiłkiem, ta orędowniczka wiedzy otrzymuje same okruchy i to po większej części pozostałe po obfitych biesiadach na Zachodzie. Każda sposobność, która może wzbogacić nasze umysły choć trochę wiadomościami, dziwnie sympatycznie odbija na tle dosyć czczego i bezmyślnego życia.

Wybitne pod tym względem stanowisko w obecnej chwili zajęła wystawa Dybowskiego. Co do wystaw naukowych wogóle, jesteśmy najzupełniej w takim stosunku do sąsiednich stolic niemieckich, w jakim względem nas pozostaje chyba tylko mieszkaniec Kamczatki lub wysp Komandorskich.

Ze zbiorów p. Dybowskiego możemy łatwo poznać sposób życia narodu oddalonego od nas na tysiące mil, a pod względem klimatycznym i kulturnym pozostającego w zupełnie odmiennych warunkach. Zgromadzone przez naszego rodaka przedmioty noszą na sobie wybitne piętno dodatnich cech umysłu ludzkiego, wyrobionego w ciężkich warunkach walki z przyrodą. Widać tu wszędzie spryt, pracowitość, żelazną wytrwałość, a nawet zaspakajanie pewnych estetycznych wymagań. Odbija się to szczególnie w odzieży, która stosownie i w swoim guście upiększona jest mozolnemi wyszyciami, paciorkami itp., a przytem posiada wiele zalet pod względem praktycznym. Sprzęty domowe, broń, łodzie do pływania, uprząż, wózki itd. są to wszystko rzeczy niezmiernie pouczające. Cenne i rozliczne futra dają nam wprawdzie pojęcie o źródłach bogactwa, jakie ciągnąć mogą tameczni mieszkańcy ze swej fauny, plastycznej jednak wrażliłby to się w pamięć, gdybyśmy zamiast skór widzieli zwierzęta wypchane. W takiej korzystnej postaci przedstawiają nam się tylko dziki baran i kilka ptaków. Ale nie zapominajmy, że wystawa ma przeważnie charakter etnologiczny a nie przyrodniczy, powtóre że przewożenie wypchanych zwierząt byłoby bardzo uciążliwem przy częstych i trudnych wędrówkach.

O florze tamtejszej powziąć tylko możemy bardzo ułamkowe wyobrażenie, gdyż uwzględniono tylko te okazy, które mają na miejscu jakieś zastosowanie. Wierzymy zapewnieniom gazet, że Dybowski posiada znaczne kolekcye roślin i preparatów spirytusowych, żałujemy jednak, że one są niedostępne jeśli nie dla szerszej publiczności, której możeby nie zainteresowały, to chociaż dla tych, co mniej lub więcej gorliwie oddają się naukom przyrodniczym.

W szafach, mieszczących wyroby japońskie, szczególniej ciekawe są zwierciadła metaliczne, które pomimo dokładnie wypolerowanej powierzchni, odbijają promienie słoneczne niejednakowo, bo dają odbicie wypukłego deseniu, znajdującego się na spodniej powierzchni. Własność ta, dziwna z punktu widzenia praw katoptryki, ta zapewne nadana jest zwierciadłom przez delikatne poddanie ich nagryzającemu działaniu kwasów w odpowiednich miejscach, co nie jest widocznem dla oka, wpływa jednak na odbijające się promienie. Może tu zachodzą inne przyczyny. Współuczestnicy wystawy wyjaśnić tego nie umieli, obowiązek więc wytłomaczenia tego zjawiska ciąży na specyalnem piśmie przyrodniczem — *Wszechświecie.*

Dowody licznych i niezmordowanych starań, jakie Dybowski podjął około nagromadzenia tak licznych przedmiotów, wywołują pomimo woli wyrazy głębokiej czci.

W. Gr.

PRAWIDŁOWOŚĆ W ROZWOJU PAŃSTW.

Najważniejszem i najtrudniejszem do rozwiązania zagadnieniem socyologii jest: czy w rozwoju ustrojów politycznych da się wykazać jakaś prawidłowość? czy „życie“ państw tak samo podlega stałym prawom, jak życie organizmów? Bo oczywiście, gdzie niema takiej prawidłowości, niemożliwą jest umiejętność. Kwestyą tą zajmowali się już mędrcy starożytności; jedni porównywali życie państw z życiem istot organicznych, inni, jak Arystoteles, poczynili pewne spostrzeżenia co do prawidłowego przejścia jednej formy rządu w inną. Tak np. uderzyło Arystotelesa zjawisko częste, że monarchie przekształcały się łatwo na możnowładztwa (oligarchie), te zaś znowu na gminowładztwa (demokracye), które znowu powracały do jedynowładztwa. W nowszych czasach przewroty polityczne we Francyi, kilkakrotne następujące po sobie przemiany monarchii w rzeczpospolite a tych znowu w cezaryzm, zdawały się stwierdzać spostrzeżenie Arystotelesa. Tymczasem luźne te spostrzeżenia nie mogły służyć za podstawę ścisłych teoryj naukowych, zwłaszcza że w innych krajach przekształcenia polityczne innemi szły drogami.

Kwestya prawidłowości rozwoju państw nie może być rozstrzygniętą na podstawie obserwacyi przemian *form* rządu, bo te są najczęściej tylko pozorne i nie dotyczą *istoty* rzeczy. Czy np. na czele Francyi stoi prezydent rzeczypospolitej, czy też cesarz Napoleon, to nie koniecznie musi pociągnąć za sobą zmianę *istoty* rządu. Jedynowładztwo może istnieć tak dobrze w monarchii absolutnej, jak w monarchii z całym aparatem parlamentarnym, a przeciwnie możnowładztwo może kwitnąć pod pozorem mo-

---

ków, śpiewały poematy Dawida i jego następców — psalmy chwały Jehowy i zwycięstwa sług jego. Muzyka religijna jest wynalazkiem żydów. Dość przeczytać Nehemiasza i Józefa, aby nabrać pojęcia o tych festynach muzycznych, w których uczestniczyło trzy tysiące osób: śpiewaków i lewitów. Żydzi zawsze uważali teatr świecki i zmyślenia miłosne za narośle społeczne, za raka bałwochwalczego, za podnietę do nierządu. Rabini nawet proponowali zniszczenie *Pieśni nad pieśniami*, będącej librettem opery bałwochwalcy Salomona, której muzyka zaginęła. Starzy żydzi, zresztą wyłączeni ze społeczności chrześciańskiej, patrzyli na autorów tych historyj jako na cyganów, ludzi rozwiązłych i niebezpiecznych. Salomon Heine był z ich liczby. To też, gdy siostrzeniec jego przedstawił mu swe pierwsze poezye w druku, spodziewając się otrzymać za nie od niego nietylko uznanie, ale także namacalny dowód podziwu, pieniądze, krótko mówiąc, dla spłacenia długów, wuj, biorąc do ręki książkę, odezwał się do niego słowami: *Ot widzisz! Gdybyś się był czegokolwiek nauczył, nie potrzebowałbyś pisać książek.* Całe dzieje prywatne poety zawierają się w tych słowach. Wuj nie umiał ocenić swego siostrzeńca. Daleki od tego, aby być z niego dumnym, wstydził się go prawie. Zamknął przed nim swą sakiewkę i otwierał ją tylko dla wydobycia z niej kwot drobnych, skąpych podarków, wydzielanych biedakowi zbłąkanemu, synowi marnotrawnemu, który nigdy się w zupełności nie upamiętał i dla którego nawet, gdy wrócił do domu ojcowskiego i prosił o łaskę, nigdy nie zarznięto tłustego wołu.

Prawda, że dla człowieka, który się bogaci dzięki porządkowi i oszczędności — bo można zarabiać miliony, bez porządku jednak i oszczędności zachować ich nie można — Heine, który nie miał nawet cienia porządku i nie umiał obchodzić się oszczędnie ani ze swym czasem, ani z rozumem i miłością, musiał się wydawać prawdziwym cygana. Stary Salomon miał zresztą sam syna i Henryk Heine nie był jedynym siostrzeńcem, który ciążył brzemieniem na swym wuju. Rzecz widoczna, że wyjednywam okoliczności łagodzące dla wuja i syna Heine; runą one wszakże zupełnie wobec tych kilku wyrazów: „Salomon, umierając, zostawił *trzydzieści milionów.* Karol zaś, syn jego, zmarły w Paryżu bezdzietnie— *sześćdziesiąt siedem!*“

Przypuśćmy na chwilę, że wuj, pan trzydziestu milionów, dałby rentę 25,000 fr. swemu siostrzeńcowi—kropla wody, udzielona przez rzekę krzakowi róży! Heine, uwolniony od kłopotów pieniężnych, zamiast pisać artykuły gazeciarskie, zamiast drzeć się z wszystkimi stypendyonowanymi pismakami swego kraju, oddałby się w zupełności poezyi i filozofii. Byłby pisał romanse. Jego *Rabbi z Bacharach*, którego koniec zaginął w pożarze Hamburga i którego nie chciał lub nie zdążył już wykończyć, jest arcydziełem w tym rodzaju. Byłby pisał dramaty wierszem (próby są znakomite). Słowem, byłby stworzył szereg arcydzieł, cała bowiem jego natura była dramatyczna, jakkolwiek nazbyt subjektywna. Walka codzienna ze sforą zgłodniałych psiaków, które go oszczekiwały, denerwowała go i jątrzyła jego naturę tak wesołą. Były to nikczemne potwarze, krzyki *hepp! hepp!* z racyi jego pochodzenia, niecne insynuacye przeciwko jego małżeństwu i żonie, która zresztą odznaczała się niezwykłą uczciwością. Pani Heine była dość piękną, aby znaleść wielbicieli nawet w Niemczech, i jak wielka ilość kobiet zamężnych, miałaby więcej niż jeden powód do zemsty za wiarołomstwo swego męża. Pozbawiony stałego dochodu Heine żył z dnia na dzień. Dla każdego innego poety jego dochody byłyby starczyły. Miał on rentę dożywotnią przynajmniej około tysiąca marek, którą mu był zapewnił wydawca Campe z Hamburga. Zarabiał także co najmniej trzy tysiące fr. rocznie w *Gazecie augsburskiej* i pobierał sześć tysięcy frank. od króla Ludwika Fili-

narchii absolutnej, jako też śród form konstytucyjnych. Nareszcie pod formą gminowładztwa i plebiscytów istnieć może najgorszy despotyzm i cezaryzm.

Teorya polityczna więc błądzi tak długo, dopóki na zasadzie tych pozornych i formalnych zmian chce odkryć prawidłowość w rozwoju państw. Ażeby dojść do tego celu, ażeby znaleść ostateczną formułę, najogólniejsze prawo rozwoju państw, nauka wcale inną musi obrać drogę, nie zważać na czcze formy i pozory, ale starać się dotrzeć do jądra rzeczy.

Wiemy już, że państwa wszędzie i zawsze składają się z różnorodnych żywiołów społecznych. Otóż życie państwa i rozwój jego nie są niczem innem, jak nieustannym szeregiem przemian i zjawisk, następujących po sobie wskutek *działania i przeciwdziałania* wzajemnego tych żywiołów. Jeżeli więc uda się wyrazić je ogólnie, to jest, jeżeli zdołamy w nich dostrzedz ogólne *typy*, wszędzie i zawsze powtarzające się, jeżeli następnie dla stosunku ich wzajemnego potrafimy wynaleść stałą formułę, że tak powiem, matematyczną, to jest, jeżeli znajdziemy najogólniejsze prawo, według którego wszędzie i zawsze te typowe składniki na siebie działają i postępują: wtedy będziemy mieli w ręce klucz do zagadki prawidłowego rozwoju państw. Bo jeżeli różnorodne żywioły społeczne państw dadzą się zredukować do niewielu form typowych, a stosunek wzajemny owych typów da się wyrazić w ogólnem prawie — to oczywista, że rozwój każdego państwa przedstawi nam się już tylko jako rachunek czysty, jako operacya naukowa, w której ze znanych czynników obliczyć możemy konieczny rezultat.

Przypatrzmy się więc, czy w składowych żywiołach państw można odkryć takie typy ogólne i czy dla wzajemnego stosunku ich do siebie da się wynaleść ogólne prawo?

Jako organizacya władzy jednych nad drugimi każde państwo z natury rzeczy musi się składać z panujących i opanowanych. Te dwie klasy ludności stanowią niejako szkielet każdego państwa. Każde panowanie potrzebuje pracy podległych. I otóż ogólne prawo, wyraża wiecznie i wszędzie zachodzący stosunek między panującymi a opanowanymi: ci ostatni pracują nietylko dla siebie, ale nadwyżka owoców, czy zysku ich pracy musi służyć na utrzymanie panowania. W tym stosunku leży istota państwa, bez niego ustrój państwowy byłby niemożliwym. Ponieważ stosunek ten jest konieczny a nadto każdy żywioł, każda klasa społeczna (czy też stan) dąży zawsze do zajęcia stanowiska lepszego: stąd wypada, że rozwój państwowy idzie zawsze w kierunku tych dążności i w miarę materyalnych i moralnych sił owych poszczególnych żywiołów społecznych.

Do tego dodać należy, że w rozwoju państwo wzrasta i w obręb swój wciąga najróżnorodniejsze pierwiastki, które odpowiednio do sił i środków swoich zajmują najrozmaitsze stopnie w hierarchii społecznej; każdy zaś z żywiołów, jakiekolwiek zajmuje stanowisko, zawsze dąży do opanowania innych, do obracania zysków pracy obcych na swoje cele, przez co życie wewnętrzne państwa, przedstawiające się nam jako bezustanna walka polityczna i ekonomiczna klas społecznych, staje się coraz zawilsze, co wprawdzie nie usuwa *prawidłowości* rozwoju, ale obliczenie jej choćby tylko prawdopodobne czyni nadzwyczaj trudnem, zwłaszcza, że na wewnętrzny rozwój państwa wpływają częstokroć czynniki zewnętrzne.

Najprostszym będzie rozwój państwa tam, gdzie na niewielkiem terytoryum możnowładztwo panuje nad klasą poddanych rolników i z nadwyżki zysków pracy ich żyje. Dopóki ono zdoła utrzymać lud poddany w ciemności i ubóstwie, dopóty panowanie spoczywać będzie na silnych podstawach, jeżeli przytem nie będzie dopuszczało się okrucieństw i gwałtów. Ale te podstawy panowania zaczną się naruszać w chwili, kiedy między te dwie klasy wejdzie żywioł obcy, politycznie wolny, który posiadając inteligencyę i środki materyalne, będzie usiłował dla siebie wyrobić stanowisko wygodne kosztem jednych i drugich — jak to najczęściej bywa. Ten stan bowiem średni wnet pozazdrości możnowładcom *monopolu* wyzyskiwania ludu, zapragnie naprzód łupem się podzielić, następnie na swoją korzyść go zmonopolizować. Stąd wyrodzi się walka między zachwianymi w panowaniu możnowładcami a klasą średnią, walka, w której obie strony będą się starały różnymi sposobami pozyskać dla siebie pomoc i przymierze ludu itd.

Jest to tylko przykład ogólnikowy rozwoju państwowego. Streśćmy rzecz samą. Z natury ludzkiej wynika, że hordy, czy szczepy ludzkie wiążą się w ustroje społeczne przez zapanowanie jednych nad drugimi. Z natury znów tych państw i z powstania ich wypada, że składają się zawsze i wszędzie z różnorodnych żywiołów i szczepowych i społecznych. Z natury tych żywiołów znowu wypada, że każdy dąży do jaknajwygodniejszego stanowiska w państwie a więc do jaknajwiększego wyzysku innych. Stąd powstaje walka ekonomiczna, która jest zarazem i polityczną, bo środki materyalne dają w końcu prawo polityczne. Walka zaś ta zawsze i wszędzie musi mieć i ma zawsze i wszędzie ten sam rezultat, mianowicie: zwycięstwo żywiołu potężniejszego.

To są czynniki, składające się na rozwój państwa, a ponieważ one zawsze i wszędzie działają jednako, bo zawsze i wszędzie według koniecznych praw natury swej: stąd wynika, że ów rozwój jest zawsze prawidłowy, choć dla zbyt wielkiej komplikacyi prawidłowość ta nie zawsze jasno występuje. Wykazać ją jednak pomimo i śród najzawilszych walk najróżnorodniejszych interesów społecznych jest zadaniem prawdziwie umiejętnego *dziejopisarstwa*; starać się obliczyć ją w przyszłym rozwoju danego państwa na podstawie danych stosunków jego wewnętrznych i zewnętrznych, jest zadaniem umiejętnej *polityki*.

L. Gumplowicz.

TEMIDA GALICYJSKA.

Dziennikarstwo galicyjskie od dłuższego już czasu zawodzi gorzkie skargi na fatalny wymiar sprawiedliwości, uszczęśliwiony rządami najobrzydliwszego biurokratyzmu. Najgłówniejszym grzechem galicyjskiej Temidy jest godna uwiecznienia w historyi powolność wyrokowania, brak należytego uzdolnienia wskutek rozwielmożnionej protekcyi, potem — częstokroć brak sumienności, spowodowany uleganiem wpływom ubocznym.

Szukając przyczyn takiego stanu rzeczy, zauważyć należy, iż co do pierwszego grzechu winną tu nieszczęsna okoliczność, że Galicya, jak prawie pod każdym tak i pod względem sądownictwa, traktowaną jest w budżecie pod macoszemu, wciąż jeszcze będąc krajem przeróżnych eksperymentów, podkopujących jej rozwój. Zestawienia statystyczne Galicyi i Bukowiny z innymi krajami monarchii wykazują, że w roku zeszłym pokrzywdzoną została o 1,051,540 złr. i niema w swem sądownictwie: a) posady wiceprezydenta sądu wyższego, b) 4 posad radców sądu wyższego, c) 5 posad

---

pa. Wuj jego, ulegając wreszcie jego prośbom, przeplatanym nieraz pogróżkami—bo Heine zrozpaczony groził mu niejednokrotnie swą zemstą poetyczną—zapewnił rentę sześciu tysięcy franków, która w epoce nieuleczalnej choroby poety podniesiona została o *dwa tysiące*. Człowiekiem, który to uczynił, był Karol; wspaniałomyślny ten mąż, umierając przypadkowo, pozostawił sześćdziesiąt i siedem milionów swej małżonce, kobiecie szlachetniejszej i wspaniałomyślniejszej, niż on! Schiller, gdyby miał te dochody, byłby najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, boć utrzymywał się tylko z trzystu talarów. Ale Schiller żył w Niemczech, a Lota, jego żona, jakkolwiek szlachcianka, prowadziła mu kuchnię. Heine przeciwnie, od lat swych najmłodszych miał przyzwyczajenia arystokratyczne. Mieszkał w Paryżu, lubił kobiety, nie znał porządku, a do powiększenia nieładu przyczyniała się Matylda, nieprzywykła do prowadzenia domu. Było to gospodarstwo cygańskie, gdzie do obiadu podawano Sotern jako wino stołowe, ulubiony napój Heinego, i szampana na deser, który znowu lubiła Matylda. Heine nie umiał nigdy liczyć a Matylda nie umiała nawet zrobić omletu. W pewnych chwilach dotkliwszych potrzeb, po odwołaniu się do rodziny bądź w Hamburgu, bądź w Paryżu, wpadał w wściekłość i mścił się na niej w swych listach prywatnych, w książkach i dziennikach. Zresztą był on zawsze cierpiącym, na długo jeszcze nawet przed swą wielką chorobą mlecza pacierzowego. Nigdy nie pozbył się on pewnej choroby skórnej, dla której jeździł corocznie do kąpieli w Luchon. Matylda, naturalnie, towarzyszyła mu w tych podróżach. Mam wiele listów jego niemieckich, w których obarczał mię różnymi komisami i posyłkami. Na krótki czas przed główną swą słabością, gdy wuj jego był już dość starym, zażądał od niego pozwolenia na przedstawienie mu swej żony w Hamburgu, pragnąc pogodzić się zupełnie ze swą familią. Przebył tam kilka tygodni, lecz Matylda nie umiała sobie zjednać względów ani u wuja, ani u ciotek. Rzecz dziwna, jak Heine mógł sądzić, choćby na chwilę, że jego dawniejsza metresa dzięki tylko swej plastycznej, dzikiej niemal piękności spodoba się sztywnym niemcom, naszpikowanym estetyką i muzyką Schumanna! Gdy powróciła z Hamburga morzem, sama jedna i chora, po dziewięciodniowej podróży, w ciągu której straszne cierpiała, miała tylko słowa przekleństw dla wszystkich tych milionerów nudnych, którzy zajmowali się nią jedynie z miłosierdzia i jedynie z miłosierdzia ją obdarowali, jak intruza. Szydziła z ich sztywności wymuskanej i ich lichej francuszczyzny. A jednak, muszę wyznać, Heine, powróciwszy z Hamburga, sądził, że się pojednał z wujem. Raz na wesołym obiadku odezwał się do mnie: „Jestem teraz hołysz, ale pewnego dnia będę bogaczem. Wuj mój niewątpliwie zostawi mi milionik.“ I na rachunek tego Sotern lał się strumieniami a Matylda po niezliczonych szklankach szampana kazała mi zaśpiewać swą aryę ulubioną: *O Matyldo, bóstwo mej duszy!* Można sobie przedstawić jego rozczarowanie po śmierci wuja, śmierci, która nastąpiła wkrótce po jego podróży do Hamburga, gdy się dowiedział, że wuj w testamencie zapisał mu całego kramu szesnaście tysięcy franków kapitału. Powtarzam szesnaście tysięcy franków *). Heine na wieść o tem, w mojej obecności, zesztywniał i padł na ziemię, a gdy Matylda i ja ułożyliśmy go na łóżko, płakał gorącemi *łzami, jedynemi jakie wogóle u niego widziałem.* Był to dla niego cios śmiertelny. Od chwili tej zapadł na ową straszną chorobę, która go dobiła. (D. c. n.)

*) Oto odnośny ustęp testamentu: „Kwituję niniejszem mego siostrzeńca Henryka z wszystkich pieniędzy, jakie mu dałem.“

prezesów sądów obwodowych, d) 37 posad radców sądu krajowego, e) 18 posad sekretarzy, f) 40 posad adjunktów kolegialnych, g) 71 posad sędziów powiatowych, h) 5 posad prokuratorów, i) 10 posad zastępców prokuratoryi, j) 14 posad płatnych auskultantów, k) 326 posad sług i dozorców. Według cyfr przeciętnych, powinno być w Galicyi niespełna 18 sądów kolegialnych a 247 powiatowych, ponieważ zaś jest dotąd tylko 12 kolegialnych i 176 powiatowych, przeto pierwszych brak ogółem 6, drugich 71.

Cyfry te są tak wymowne, że wobec nich upaść musi wszelkie podejrzenie o przesadę w skargach galicyjskiego dziennikarstwa. Nawet p. Fellner v. der Arlt, radca ministeryalny, którego względami nie cieszy się podobno sprawa sądownictwa w Galicyi, musi im przyznać, że są wielce przekonywające. I dlaczegóż to sprawa ta nie cieszy się uznaniem sfer decydujących? Może sądownictwo zbyt przeciąża budżet państwa, jak to się dzieje gdzieindziej? Przeciwnie — rząd na wymiarze sprawiedliwości w krajach z tej strony Litawy zarabia rocznie około 12,000,000!!

Trudno wymagać, aby p. minister Pražak zrównał sądownictwo galicyjskie z ojczystem (w Czechach), które tak znakomicie jest uposażone. W podobnych pragnieniach można być o wiele skromniejszym, ale niechże w końcu zostaną one uwzględnione, niechaj rząd nie upośledza kraju i nie wyzyskuje jego sił, pomnąc choćby na to, że w Galicyi liczba spraw karnych większą jest, niestety, niż w innych prowincyach monarchii, zaś spory gruntowe włościan słyną z zawikłania. W braku odpowiedniej ilości urzędników a przy słynnej swą pisaniną formalistyce austryackiej, wynika wszędzie straszne przeciążenie pracą, ogólny zastój i nieład, jak również to, że sądy, zarzucone sprawami, wyzyskują przerażająco młodzież prawniczą, posługując się bezpłatnymi auskultantami i praktykantami, których liczba w Galicyi wynosi blisko 300! Zanim pozyskasz pensyę 500 złr. rocznie, ledwie wystarczającą na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb, musisz pierwej przez cztery lata jako bezpłatny praktykant, potem jako bezpłatny auskultant, wycierać za darmo w biurze rękawy surdutów, czyli: jeżeli nie masz własnego zasiłku, musisz po prostu przy krwawej pracy umrzeć z głodu — z dyplomem uniwersyteckim w kieszeni.

Wreszcie dostajesz owe 500 złr. i marzysz, że twe zdolności utorują ci dalej drogę. Tymczasem wkrótce przychodzisz do przekonania, że szrubę karyery kręci tylko wszechwładna protekcya. Gdyby kto zechciał przyprowadzić na to przykłady, czytelnik sądziłby, że wróciły mu młode lata, gdy czytywał czarodziejskie opowieści. Zwątpiłby również, że Temidę wyobrażali grecy z przepaską na oczach, dla wyrażenia niezależności w jej wyrokach.

Pod tym względem najgorzej niewątpliwie dzieje się w zachodniej Galicyi, gdzie niewłaściwie obsadzone pierwszorzędne stanowiska wpływają ujemnie na całą instytucyę. W tej części kraju na czele sądownictwa stoi p. Fryderyk Dargun, c. k. tajny radca, kawaler kilku orderów, prezydent sądu wyższego w Krakowie. Jako urzędnik, jest pozbawionym energii i pamięci starcem, lekceważącym, jak powiadają, polską ortografię, ma jednak zasługi u rządu z czasów germanizacyi i ucisku Galicyi. W r. 1864, gdy więzienia krakowskie przepełnione były koryfeuszami narodowego ruchu, a p. Dargun zajmował prezydenturę sądu kryminalnego, miał się chlubnie odznaczyć, zalecał chłostę cielesną, prowadził gorliwie raporty i uwiecznił się podwyższeniem murów więziennych.

Serdecznym przyjacielem p. Darguna a nadprokuratorem państwa dla zachodniej Galicyi jest p. Antoni Nalepa, radca dworu, także zaszczycony orderem i także znany w 1864 r. Dziś, przy zmianie stosunków politycznych, nie może sobie pozwolić p. Nalepa na szerszy wylew swych czesko-niemieckich uczuć, musi trzymać się w karbach, co uprzyjemnia sobie rozrywką Dyanny w okolicy Krakowa, a w wolnych chwilach od polowania — urzęduje. W r. 1864 przeszedł nawet do poezyi narodowej, uczczony powszechnie znanym wierszykiem:

Na lep — na lep
Chwytają ptasznicy itd.

Trzecią osobistością, na którą warto zwrócić uwagę, jest p. prokurator krakowski Adolf Brason, prawnik słaby, za to człowiek nie bez przeszłości rodowej: miał dwu wujaszków Sumerów, smutnie zapisanych w historyi Galicyi, zaś teść jego, komisarz Basler, jeden z najtęższych policyantów austryackich, aresztował niegdyś Langiewicza. Prawdziwą perłą w osobistej działalności p. Brasona, pomijając liczne i nieuzasadnione konfiskaty prasowe, któremi prześladuje liberalne dziennikarstwo, stanowi słynny przed paru laty proces socyalistów krakowskich. Jak wiadomo, p. prokurator prowadził najprzód śledztwo w kierunku zbrodni stanu, następnie oskarżył ich o zaburzenie spokoju publicznego — na to tylko, aby po półtorarocznem śledztwie i czterotygodniowej rozprawie pięciu obwinionych sędziowie przysięgli uznali jednogłośnie winnymi... fałszywego meldunku i skazali ich na pięciodniowy areszt!

N.

JASEŁKA KRAKOWSKIE.

11 lnty.

Dla karyerowiczów. — P. literat z Posadowa. — Co mogą jezuici. — Protekcya arystokracyi. — Smutny koniec wesołej opowieści. — Nieco o współpracowniku *Gazety lwowskiej* z siedzibą w Krakowie. — Upadek stańczykowskiego tambormażora. — P. St. Smolka, syn porządnego ojca. — Romeo i Julia. — Błąd życiowy.

Chcecie wiedzieć, jak się robi w Krakowie karyerę — to posłuchajcie. Temu przeszło rok, przybył do naszego miasta człowiek więcej może niż średniego wzrostu, zbudowany krzepko, mogący mieć na oko tak około lat 30, z bezmyślnym wyrazem twarzy, o wydatnych trochę po kałmucku kościach policzkowych i grubych jak snop pszenicy wąsach, z głową skąpo porosłą ciemno-błąd włosami, jakby łysawą, oczy bezbarwne i małe lecz przebiegłe. Wkrótce dowiedziałem się, że pan ten — bohater dzisiejszej chwili — przybył, jak twierdził, z Warszawy i jest literatem. Co do nazwiska, objaśniono mnie, że zwie się Stanisław Skrzyński z Posadowa i że postanowił zostać w Krakowie wielkim człowiekiem. Jakoż szukając karyery, wziął się do rzeczy z prawdziwym sprytem. Gdy wszelkie usiłowania wtargnięcia do postępowego obozu zawiodły, udał się czemprędzej na łono stańczyków. Tu szczęście posłużyło mu najzupełniej. Wkrótce p. literat nietylko nie potrzebował już względów p. Sarneckiego i Spółki z *Gazety krak.*, ale nawet sam już mógł ich protegować. Wyświeżony zawsze, wyelegantowany niepodobny był teraz do owego Skrzyńskiego, który przyjechał do Krakowa w wytartym surduciku i połatanych butach. Skąd brał na różne a znaczne potrzeby — niewiadomo, lecz droga, jaką piął się ku górze, znaną była powszechnie. Słanie sobie wygodnego gniazdka, p. literat, jak inni jego poprzednicy, rozpoczął od stosunków z jezuitami — wielkiej dla karyerowiczów potęgi w Krakowie. W tym czasie stał się mężem niezwykłej świętobliwości, bywał w niedzielę na t. z. „mszy eleganckiej“ w kościele P. Maryi, mówił wiele z przejęciem o św. Augustynie i Tomaszu a Kempis, należał do kilku stowarzyszeń kościelnych i pomagał arystokratycznym dewotkom wsiadać do powozów a ich pieski o krzywych nóżkach całował gorąco w szyjki — przytem miał tę przewagę nad swymi współzawodnikami w Chrystusie, że w wolnych od twórczości literackiej chwilach grywał jezuitom na organach, co czynił wyłącznie dla chwały bożej — bezinteresownie. Umiejętność tę tłomaczono sobie słowami Grabca, gdy powiada do Goplany:

A pytasz, kto ja jestem?... to historya długa.
W naszym kościołku stały ogromne organy —
Mój tata grał na dudach...

Było to więc po prostu przyzwyczajenie, a właściwie dziedziczność.

Przy sposobności muszę zaznaczyć także i to, że o ile słyszę, sielankowy amator organów podobno nosił już niegdyś suknie seminarzysty czy laika, tylko nieszczęsne okoliczności sprawiły, że musiał je porzucić. W Krakowie, jak mówią, chciał na nowo przywdziać sutannę, a raczej oświadczył się z tem, osiągnąwszy cel upragniony: olbrzymią sławę niezwykłej pobożności. Tą drogą idąc dalej, zaszedłby niezawodnie protegowany jezuitów, stańczyków i ich metres bardzo daleko, pomimo, że zaczęły obiegać pogłoski o bardzo nieładnej malwersacyi jeszcze z czasów pobytu w Warszawie — gdyby nie nagła a niezbędna ucieczka przed smutną rzeczywistością. Tak jest! przyjaciel hrabiów, członek resursy magnackiej — znikł z Krakowa jako prosty oszust, upozowawszy ucieczkę wykradzeniem ubogiej panienki, której nikt mu nie zabraniał poślubić! Ha, ha! — śmiano się w Krakowie — byli z Koźmianem *amicochon* — i *ami* czmychnął...

Nie wspomnę bliżej o różnych nadużyciach zbiega, gdyż należy to do sądu. Chodzi mi tylko o sam fakt i o zaznaczenie tego, że podczas gdy ludzie uczciwi giną z niedostatku na krakowskim bruku, osobniki liche znajdują poparcie i cieszą się uznaniem. Przecież z najzwyklejszego nieuka, jakim był ów zbiegły oszust, zrobiono człowieka wykształconego a jego nieudolność zamieniono niemal na genialność, zrobiwszy go w końcu redaktorem założonego z nowym rokiem *Tygodnika rolniczego*. Pierwsze numery tego pisma były czemś dziwnie bezsensownem, choć pretensyonalnem. P. ekonomista ze stańczykowskich przedpokojów, który miał pouczać ziemian galicyjskich, okazał się w rzeczach rolnictwa mniej uzdolnionym, niż pierwszy lepszy Kuba albo Magda Kapuścianka. Dopiero, gdy *N. Reforma*, wystąpiła przeciw *Tygodnikowi* z surową krytyką, Towarzystwo rolnicze przejrzało i teraz w swym nieszczęśliwie poczętym organie ogłasza, że p. Skrzyński wzięty był tylko „sposobem próby.“

Czy także „sposobem próby“ drukowano w Warszawie różne jego brednie? Wiedzieć bowiem trzeba, że zanim został ekonomistą, uprawiał jakiś czas estetykę, a używano go także w pewnych waszych pismach jako korespondenta z Krakowa, ku niemałemu rozweseleniu podwawelan. Włosy mi stanęły na głowie dębem, kiedym w jednej z poważnych gazet warszawskich ujrzał w feljetonie jego *Wędrówki po pracowniach malarzy krakowskich*‘ — zbiór bredni wypowiedzianych okropnym językiem i stylem a pisanych przez p. St. Zarembę (takim przezornie okrywał się pseudonimem) za pożyczkę guldena lub niedrogi traktament.

Radbym jeszcze dać czytelnikom niejakie pojęcie o zasługach p. literata z Posadowa, ale naprzód brak mi już na to miejsca, powtóre zrozumieć łatwo, do czego zdolny najmita — zwłaszcza, gdy w głowie wietrzno jak w stodole na przednówku. Natomiast zrobić muszę małe zapytanie, dlaczego to w piśmie warszawskiem, a w szczególności *Kuryery*, które tak wydzierają sobie z rąk rzezimieszków, które zdolne są obe-

drzeć ze skóry chłopaka, od szewca, gdy z głodu ukradnie przekupce bułkę lub obwarzanek — o p. Skrzyńskim, jeśli się nie mylę, nawet nie wspomniały?

Wreszcie w imię chrześciańskiej uczynności przesłać winienem *Przeglądowi katolickiemu* wiadomość, że znakomity ten mąż, pracował w ostatnich czasach nad dziełem o wpływie księży na moralność i rozwój umysłowy. Jeżeli ów wpływ bywa taki, jak na nim się ujawnił — pal sześć, zostanę muzułmaninem!

Zanim to jednak nastąpi, powiedzieć mi wypada parę słów o innym p. Skrzyńskim, także niby literacie i także dworującym stańczykowstwu. Nie wyprowadzałbym go wszakże po za rogatki Krakowa, gdyby nie to, że w korespondencyi krakowskiej *Kuryera warszawskiego* odegrał on bardzo poważną a zatem najniewłaściwszą rolę. Czytałem mianowicie w notatce o zmianach w redakcyi *Czasu*, że równocześnie z objęciem przez p. St. Smolkę głównego redaktorstwa, „opuścił grono redakcyi po trzech latach współpracownictwa (mój Boże!) p. Kazimierz Skrzyński, który podzielając główne i podstawowe zasady *Czasu* co do polityki krajowej i ogólnej, nie całkiem, jak utrzymują, zgadzał się na tendencye zbyt jednostronne i metodę, jaką dziennik ten bronił swoich przekonań.“ Dalej korespondent donosi, że ów p. Skrzyński został oryginalnym współpracownikiem *Gazety lwowskiej*, bo „z siedzibą... w Krakowie.“ Upewniano mnie, że korespondentem *Kuryera* p. Figaro, który tak wiele pisał o „współpracowniku *Gazety lwowskiej* z siedzibą w Krakowie“ jest właśnie sam p. współpracownik — ale tego nie chcę powtarzać, zaznaczę tylko co do despektu, jaki „po trzech latach współpracownictwa“ (mój Boże!) spotkał p. Skrzyńskiego, że przyczyną nie była kwestya zasad, lecz— ktoby pomyślał!— ot, paryski *Figaro*. Czy p. Skrzyński „podziela główne i podstawowe zasady *Czasu*, nie zgadzając się na metodę, czy też ich nie podziela,“ to nikogo nie obchodzi, o to zresztą nikt go nie śmiał posądzać. W braku innego zajęcia zawiesił się on przy *Czasie* i wisiał tam blisko trzy lata (tylko trzy lata — mój Boże!), z początku w charakterze adepta kunsztu krytycznego z zakresu teatru, potem... co potem? Potem, o ile wiem, specyalnością p. S. było studyowanie w redakcyi konceptów *Figara* —i to go miało ostatecznie zgubić, gdy nastały rządy p. St. Smolki. Niepotrzebnie też odegrał w *Kuryerze* rolę ofiary.

Z usunięciem p. Koźmiana na drugorzędne stanowisko, jak słyszę, zaszło znowu co innego. Faktem jest, że z powstaniem *N. Reformy* liczba prenumeratorów *Czasu* zmniejszyła się bardzo znacznie. To jednak nie mogłoby spowodować właścicieli pisma do zmiany naczelnego kierownika, gdyż współzawodnictwo *N. Reformy* zasadzało się na wartości przekonaniowej — ale spowodował ich do tego inny fakt: zaniedbanie dziennika i sprowadzanie go na niewłaściwe tory. W ostatnich czasach organ stańczykowski był istną tandetą, co do doboru i świeżości materyału, przytem wskutek karczemnie prowadzonych polemik, schodził na skandaliczne pismko brukowe. Dodajmy nareszcie, że p. Koźmian zaczął coraz bardziej... (bądźmy pobłażliwsi dla tego „idealisty,“ niż on dla pozytywistów).

Gdy tak gaśnie gwiazda dotychczasowego tamburmażora stańczyków, wschodzi gwiazda p. St. Smolki, syna znanego demokraty, prezydenta Izby poselskiej w Wiedniu. Złożenie egzaminu na członka „moralnego rządu“ odbyło się, jak sobie zapewne przypominają czytelnicy, zaraz po śmierci Szujskiego — w nekrologu a raczej życiorysie, t. j. gdy zawakowało po nim miejsce, potem nastąpiła prawdopodobnie *doktoryzacya* — i teraz mamy już całkiem *porządnego* człowieka. Tylko jeden *Dyabeł* krakowski śmie mu urągać, mówiąc, że „p. Smolka objęciem kierownictwa *Czasu* grubo się *posmolił*.“

Z dusznej atmosfery „grabarzy narodowych ideałów“ nie mogę, jak pragnąłbym, wyprowadzić was na widnokręg jasny, pogodny, gwiaździsty. Przeciwnie—dopełniając dotychczasową czarę, musimy się choć na chwilę udać ku wrotom cmentarnym. *Kuryery* opisały już w sposób wielce poetyczny, choć niezupełnie prawdziwie i logicznie, rzadki wypadek, który zdarzył się u nas niedawno. Nie obchodzi mnie jednak wcale, czy bohaterowie tragedyi słuchacz medycyny Juliusz K. i modniarka Marya Ch. po otruciu się leżeli w pozie Romea i Julii, czy też, jak twierdzą poetyczne *Kuryery*, „on klęczał (!) u jej stóp, ona zaś martwą widniała na kanapie“—nie obchodzi mnie także, czy on odebrał sobie życie wskutek amerykańskiego pojedynku (podobno z jakimś niedowarzonym hrabią), a ona nie chcąc go przeżyć, otruła się z nim równocześnie, czy też mieli inne przyczyny do porzucenia tej smutnej ziemi. Uwagę moją zaprząta wyłącznie pogrzeb. Romea pochowano okazale, wystawnie, z wieńcami, przy śpiewie mnichów i świec jarzących blasku—ją wywieziono czemprędzej do kostnicy cmentarnej, i po sekcyi lekarskiej, cichaczem w dół wrzucono — tyle tylko, że obok jego grobu, i tyle tylko, że koledzy bohatera tragedyi złożyli potem na jej mogile wieniec z napisem: „Hołd przywiązaniu i wierności!“ Dlaczegoż to taka różnica? Ha! on miał opiekuna, czy wujaszka w osobie komisarza policyi—ona zaś była ubogą szwaczką i zbłąkaną. Jemu wybaczono wszystko, jej—nic. O! czemuż w poświęceniu swem nie pamiętała na słowa poety:

. . . .
Nie bierz nigdy z serca zalet—
Kto brał—był skaran:
Krew serdeczną wyssą tobie
I napiszą na twym grobie,
Żeś baran!

Prawdzic.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Sahi-Bej **Krwawy dorobek**, powieść z życia albańsko - macedońskiego. Warszawa, 1884.

Sahi-Bej utwór swój osnuł na tle walk oddawna toczonych z Turcyą przez ludy, którym barbarzyńskie a surowe władztwo jej ciąży i dolega—na tle walk o niepodległość. Dla uwydatnienia ich wagi oraz rzucenia światła na ludzi biorących w nich udział, przedstawił kilka epizodów z historyi powstania albańsko-bulgarskiego (1865) i powiązał je jedną nicią intrygi. Stanowi ją tu miłość dwu par kochanków, z których nietylko mężczyźni, ale i kobiety czynnie występują w różnych utarczkach. Pierwszą z owych par jest Kosta - Miładinowicz—bulgar-patryota, nieco poeta, literat i dziennikarz, który dla wyjarzmienia ukochanej swej Bulgaryi nie zawahał się stanąć na czele bandy opryszków-hajduków, jako watażka—i Elenka, nadobna córa jednego ze spiskowców, Trajczo - Jowana, bogatego kupca z Wodeny. Drugą—Emin-bej-Hojko, młodzieniec ze szlachetnego rodu Giegów Dybrzańskich, szczepu mirydytów albańskich, siłą nawróconego na islam, lecz niemniej przeto nienawidzącego turków — i Rozyna, córka vice-konsula włoskiego w Monastyrze, hrabiego Fermentini, całą duszą oddanego sprawie oswobodzenia Albanii. Wokoło tych czworga osób grupują się cały szereg postaci, z których jedne wszelkiemi siłami i poświęceniem bez granic popierają działalność powstańców, inne ją paraliżują na każdym kroku. Zwycięży knowania ostatnich, powstanie zostało stłumione. Ale honor Albanii ocalony. Bo po bohaterskiej bitwie pod Kustbohazem, w której sprzysiężeni pod wodzą Emina i nieodstępującej go Rozyny dokazywali cudów waleczności; sami nieprzyjaciele nawet musieli przyznać, że tylko nieszczęśliwy zbieg przypadków i zdrada były powodem ich porażki. Niezrażony tem niepowodzeniem Kosta, na czele towarzyszy właśnie do nowych przeciwko wrogowi gotował się zapasów, gdy podstępnie został ujęty i osadzony w więzieniu w Stambule, gdzie wkrótce umarł z ran odniesionych w obronie życia swojego. Złamana tragicznym losem kochanka, Elenka wstąpiła do klasztoru, zapisawszy cały swój majątek na utrzymanie zbrojnych oddziałów, mających istnieć dopóty, aż Macedonia odzyska zupełną niepodległość. Szczęśliwszą była Rozyna. Jakkolwiek ciężko ranna w bitwie pod Kurtbohazem, prędko jednak wróciła do zdrowia, odbierała oznaki czci i hołdu ze wszech stron, w końcu zaś wyszła za ukochanego przez siebie oddawna Emina-beja, który wziął z nią ślub po katolicku i przysiągł, że wytrwa w jednożeństwie i dzieci wychowa w wierze matki. A „krwawy dorobek?“ Wytłomaczenie tego tytułu autor włożył w usta mnicha franciszkanina, który nowożeńcom dawał ślub i na dopytywania albańczyków obecnych na uczcie, kiedy Albania dostąpi wolności, taką im daje odpowiedź:

„Czas wyzwolenia spoczywa w waszych rękach; im mniej będziecie oszczędzali krwi wrogów i swojej własnej, tem prędzej je osiągniecie. Najwyższy nie odmówi wam wtedy swej pomocy. Rycerska cnota, to klucz boży, co otwiera bramy powodzenia na tym i na tamtym świecie.“

Oto jest w najogólniejszych zarysach osnowa powieści Sahi-Beja, osnowa niewątpliwie, jak mało która inna, nadająca się do tworzenia barwnych obrazów i uplastyczniania subtelnych zawikłań psychologicznych. Autor wszelako tych wdzięcznych stron przedmiotu swojego nie wyzyskał dostatecznie, a może i wyzyskać nie umiał, dla braku polotu poetycznego i daru obserwacyjnego. Braki te widoczne są z całego toku opowiadania, z jednostajności i oschłości tonu, który bezustannie nużąc czytelnika, ani na chwilę porwać go nie zdoła, z wielu niefortunnych i wymuszonych porównań i zwrotów, z tego nieprawdopodobieństwa wreszcie, w jakiem postawioną została jedna z głównych bohaterek romansu—Rozyna. Bo skądże w tej dziewczecewłoszce, wychowanej śród pańskich salonów, wypieszczonej przez rodziców i otoczenie, ani na krok przedtem nie oddalającej się od matki, odrazu zrodził się ów zapał i hart rycerski, z jakim nieustraszenie biegnie pod grad kul tureckich i własnym przykładem zagrzewa hufce do boju, wołając: „Naprzód, niech żyje Albania!“?

Z pomiędzy chropowatości stylowych wymienić można najbardziej rażące, jak: „*pieśń* nicią złotą *przetykała* jednotonne tło wodospadów“ (str. 2), „w głosie nie *widać* było śladu wesela“ (tamże), „*wiadomości* etnograficzne muszą być *wiadome*“ (65). „zgraja psów opadła podróżnych we wsi, nienawykłych (!) w Turcyi widzieć kogokolwiek o tej porze“ (89), „utkwił w nim swój wzrok przeszywający, *jak szpilkę przyrodnika przebijającego owad*“ (158), „*oczami* błagalnie *łaskotał* zasępione surowością wdzięki dziewicy“ (189) itp. Korekta nadzwyczaj zaniedbana nieprzyjemne sprawia wrażenie.

Dobrą stroną książki Sahi-beja są wierne opisy zwyczajów i miejscowości, mało lub wcale u nas nieznanych, oraz niekłamana sympatya dla losu słabych a uciśnionych, wiejąca z każdej niemal karty. Ten też wzgląd głównie książkę tę czyni pożądanym nabytkiem dla literatury krajowej. Wartość artystyczna tego utworu nie wychodzi po za zakres najzwyklejszej mierności.

Mayne-Reid **Przygody myśliwskie młodych osadników w Afryce południowej.** Przełożyła z angielskiego M. J. Zaleska. Warszawa.

Pani Zaleska, znana z wielu prac pożytecznych dla młodego pokolenia, przyswoiła znowu literaturze dziecinnej książkę Mayne-Reida. Rzecz to zajmująca i ściśle naukowa zarazem. W formie opowiadania o przygodach sześciu młodzieńców, osadników holenderskich w Afryce południowej. wybierających się na polowanie u wybrzeży rzeki Pomarańczowej—autor zapoznaje czytelników z właściwościami i sposobem życia rozmaitych dzikich zwierząt. Po lwach i antylopach następują tu strusie, nosorożce, borsuki skalne, giemzy skaczące, krokodyle, węże itp.; w opis każdego z nich tyle interesujących wpleciono szczegółów, a całe opowiadanie z takim prowadzone jest wdziękiem i zręcznością, iż wszystko to pomimowoli prawie wciska się w pamięć. Styl łatwy i nadzwyczaj poprawny przekład oraz dwanaście rycin objaśniających tekst o wiele podnoszą wartość tego dziełka.

M. J. Zaleska. **Gwiazdka dla grzecznej dziatwy.** Małe powiastki z obrazkami. Warszawa, 1884 r. Gebethner i Wolff.

Wydaniem tego zbiorku autorka dobrze zasłużyła się dziatwie naszej, dla której zbytku prawdziwie odpowiednich książek nie mamy. W mieszczących się tu pięćdziesięciu kilku powiastkach bądź prozą, bądź wierszem, podaje młodym czytelnikom swoim rozmaite nauczki moralne i wszczepia w ich umysły początki wielu wiadomości pożytecznych. A czyni to zawsze z taką łatwością i prostotą, tak umie zniżać się do pojęć młodocianych, że, czy to opowiada o Kostusi, co sypała dla ptaszków okruszyny na oknie, czy o dobrej Ludce wstawiającej się do ojca za swawolnikiem braciszkiem, czy wyjaśnia różnicę pomiędzy kamyczkiem a gąbką, solą a cukrem, czy pod formą skargi wiewiórki na niewolę u ludzi przedstawia szczegóły o naturze i życiu tego zwierzątka, czy wreszcie mówi o znaczeniu przemysłu — ani na chwilę wątpić nie można, że zupełnie będzie zrozumianą przez audytoryum swoje. Powiastki dużo zyskują tem, że wszystkie mają za przedmiot fakty z życia rzeczywistego, z najbliższego otoczenia dziecka i że wyrabiają w niem pogląd praktyczny na to otoczenie. Nie pojmujemy tylko, dlaczego autorka do jednej z nich (*Wędrówka Celinki do zaczarowanych krajów*) niepotrzebnie wprowadziła karzełka-Chochlika, mieszkającego w kryształowym pałacu i strzegącego jakichś skarbów zaklętych, kiedy tego rodzaju postacie bajeczne niepożądany wcale w główkach dziecięcych wywołują zamęt i kiedy sens moralny powiastki doskonale by się mógł obejść bez tej fantastycznej domieszki.

Druk duży, wyraźnie odbite obrazki i korekta poprawna — szczególne jeszcze tej książeczki stanowią zalety.

Zofia Urbanowska. **Gucio zaczarowany.** Powieść dla młodszych dzieci z 10-ma rycinami kolorowanemi C. Jankowskiego. Warszawa, 1884. Gebethner i Wolff.

Opowiadanie o *Guciu* napisane jest z wielką znajomością świata dziecięcego i jego potrzeb. Przedstawiona tu historya chłopczyka, który miał wstręt do pracy, a wyleczył się z tej wady dopiero w skutek bliższych stosunków ze światem zwierzęcym. Kiedy mianowicie zmartwiony wyrzutami, jakie z powodu lenistwa swego świeżo usłyszał od matki i dziadka, zasnął w ogrodzie, śniło mu się, że go wróżka zaczarowała w muchę. Pod postacią tą tedy kolejno odbywa wędrówki to do kretowiska, to do gniazdka wróblego, to do siatki pajęczej, to do ula wreszcie — a przekonawszy się, jak każdy z ich mieszkańców skrzętnie i niezmordowanie spełnia swe obowiązki, postanawia poprawić się i poprawia. W osnowę powieści swojej autorka zręcznie wplata uwagi z historyi krajowej i nauk przyrodniczych — a osnowa cała od początku aż do końca utrzymuje się w tonie dla młodych czytelników zajmującym.

Ale p. Urbanowska często zapomina, że pisze dla dzieci i używa wyrażeń takich, jak: *armija, legijony, tyranija, organizm, fanfary,* pochód *tryumfalny* itp., któreby się łatwo dały zastąpić innemi, więcej dostępnemi dla umysłów maluczkich.

Strona zewnętrzna książki nic nie pozostawiałaby do życzenia, gdyby nie zaniedbana korekta, najmniej uchodząca w wydawnictwie dla dzieci.

A. J. C.

Ernest Haeckel **Podział pracy w naturze i w życiu człowieka.** Odczyt wypowiedziany na zebraniu robotników berlińskich. Warszawa, 1884.

Znakomity zoolog przedstawia w tej broszurze różne objawy podziału pracy w świecie organicznym. Wspomniawszy, iż w życiu społecznem człowieka podział ów tak ważną odgrywa rolę i stanowi dźwignię kultury, Haeckel rozpatruje go z kolei u organizmów zwierzęcych. Zatrzymując się dłużej nieco nad społecznym ustrojem mrówek, przeprowadza pewne podobieństwo pomiędzy nim a życiem człowieka. W dobitny sposób zaznacza całą bezzasadność poglądu o wrodzonych, ślepych instynktach, za pomocą których starano się objaśnić złożone zjawiska społeczności zwierząt. Tylko prawo podziału pracy, który powoli i stopniowo się doskonalił, wytłomaczyć nam je może, To doskonalenie się jego występowało pod wpływem ciągłego przystosowywania się organizmów do warunków życia. Aby dowieść, że przystosowywanie takie rzeczywiście warunkuje sobą podział pracy, Haeckel opisuje meduzę, polipa, wzajemną ich zależność genetyczną, oraz kolonialne organizmy, należące do grupy rurkonośnych. W koloniach tych zwierząt, swobodnie w morzu pływających, spotykamy pewne osobniki, stanowiące zmienione polipy, przystosowane do pewnych szczególnych funkcyj i inne osobniki, przedstawiające w podobny sposób zmienione meduzy. Te wszystkie formy, różne budową swoją i funkcyami, rozwinęły się drogą ciągłego, postępowego podziału pracy, czego dowodzi z jednej strony osobnikowy rozwój kolonij rurkonośnych, z drugiej zaś rozwój rodowy tej grupy zwierząt.

Podobnie jak w wyżej wspomnianych koloniach pewne osobniki, skutkiem podziału pracy, pełnią pewne specyalne, im tylko właściwe funkcye, tak też i w każdym organizmie zwierzęcym takąż drogą występują pewne części czyli organy, dla pewnych przeznaczone czynności. Powstają one stąd, że pomiędzy jednakowemi początkowo komórkami, stanowiącemi ciało zarodka, odbywa się silniejsze lub słabsze zróżniczkowanie. Tak więc poczynając od komórek organicznych a kończąc na społeczeństwie ludzkiem, widzimy, że wszędzie występuje dążenie do podziału pracy, skutkiem odpowiedniego przystosowania się do warunków życia.

Oto pokrótce treść broszurki.

Napisana jest ona zajmująco, treściwie i przystępnie. Przekład wogóle poprawny i jasny, miejscami rażą tylko pewne nieużywane w naukowej terminologii polskiej wyrażenia, jak np. „mięsień poprzecznie *paskowany*,“ zamiast „prążkowany“ lub też terminy „*rozwój ontogenetyczny i filogenetyczny*“ zamiast używanych pospolicie w języku naszym wyrażeń, oznaczających te same pojęcia „rozwój osobnikowy i rodowy“ i t. p.

Broszurka ta nie bez korzyści czytaną być może przez wykształcony nasz ogół, który nie powinien zrażać się tem, iż ona dla robotników jest przeznaczoną, bo — nie dla naszych, którzyby spotkali w zrozumieniu jej trudności.

J. Nm.

NA NUTĘ UKRAIŃSKĄ.

Lazur lśni na nieba sklepie
A szmaragdy polem płyną...
Witaj bat'ku, witaj stepie,
Witaj matko Ukraino!

Otoczcie mię stepy moje,
Opaszcie mię mglistem kołem,
Oto smutny wśród was stoję,
Z pochylonem stoję czołem...

Oj, powiej mi z Zaporoża,
Dmuchnij wietrze ukochany!
Rozwiej żal mój na bezdroża.
Rozprosz smutki na kurhany...

Stepy, stepy! wy nie wiecie
Ile czadu, wrzawy, błota,
Ile fałszu tam na świecie,
Jaka duma i — nędzota!

Oj, tam złudy me rozsiałem,
Tam złamano mię... skażono —
I ot z sercem dziś zgorzkniałem
Padam, stepie, na twe łono...

Gorączkowo pierś ma dysze
Pełna bólów, pełna żarów
Stepie! daj jej swoją ciszę,
Daj jej spokój twych obszarów.

Wioń na rany jej ochłodę,
Uśmierz, ostudź pragnień spieki,
Myślom nieba daj pogodę,
I lot wiatrów twoich lekki.

Niech zapomnę o tym świecie,
Gdzie obłuda gospodarzy,
Gdzie mieć trzeba giętkość w grzbiecie,
Nosić maskę na swej twarzy.

Trzeba silnym się przymilać,
Skacząc wedle ich fujarki,
Trzeba albo swój kark schylać,
Albo innym zginać karki...

Zapomniałem!.. W pierś się leje
Rozkosz — spokój — cisza błoga...
Stepy! stepy czarodzieje!
Ukraino moja droga!...

Włodzimierz Wysocki.

LIBERUM VETO.

Dopełnienie zapust.—Kobieta z wężem. — Szturm do szpitala Dzieciątka Jezus. — Nadmiar wiedzy wyższej i jej niedostatek między redaktorami.—Puklerz i port—w życiu.—Wygody konserwatyzmu.—*Niwa* i Kraszewski, *Prawda* i p. Sienkiewicz. — Ukłon Piekarskiego.—Obojętność. — Deklaracya.—Forsowna protekcya. — Kociołek i garnek.—Ciszej.

W tegorocznych zapustach naszych niczego już nie brak: przesunęły się długim szeregiem wieczorki jedwabne i wełniane, maskarady, bale, tombole, nawet kuligi (bez tradycyjnej sanny), a w końcu, zamiast ludowego niedźwiedzia, wystąpiła... kobieta z wężem. Przed dwoma miesiącami jedno z pism, które niebo i ziemię chce uczynić „większą własnością“ swojego „grona“ zawołało do ojców i dzieci: Prawo w tył — marsz! Dosyć mamy tej wyższej nauki, która mnoży tylko „proletaryat, nieprzynoszący nikomu pożytku!“ Gdyby ta komenda

zabrzmiała była nieco wcześniej, sądziłbym, że z posłusznych jej rycerzy wyszła redakcya *Dziennika dla wszystkich*. Pismo to bowiem doniosło z najpoważniejszą miną, że z Grodziska przybyła do szpitala Dzieciątka Jezus kobieta z wężem przy piersi, którego niepodobna odjąć. Ponieważ dobre informacye rozbiegają się po mieście szybko, więc też natychmiast obległy szpital tłumy niżej i wyżej ukształconych, pragnące zobaczyć ową nielitościwie przez gada ssaną niewiastę. Daremnie wywołujący i uciszający wszelkie wiatry miejskie *Kuryer warszawski* przemówił do swych wyczekujących na ulicy czytelników — trzeba było gmachy Dzieciątka Jezus zabezpieczyć policyą, tak do nich szturmował (zapewne) „proletaryat naukowy.“

Boli serce, gdy patrzymy na takie sceny, ale jednocześnie bolą i boki od śmiechu. W kraju, w którym „*każdy* woła (cytata dosłowna) tylko: nauki, nauki, *czy stróż, czy ekonom, czy woźny, czy rzemieślnik*,“ który upada pod ciężarem „wyższej wiedzy,“ w tym kraju istnieje redakcya, wierząca, że kobiecie wpił się w pierś wąż, istnieją tłumy, które zdobywają zdumiony tą napaścią szpital. Alboż nie wymowna ilustracya, nie piekielne szyderstwo życia z komenderujących półgłówków! Mamy zawiele ludzi z wykształceniem uniwersyteckiem—a nie posiada go nawet *trzecia część* redaktorów warszawskich. Cóż tu dziwnego, że w „światłych organach opinii publicznej“ pojawiają się bajdy o wężach, cóż dziwnego, mówię, jeśli ludzie, wołający: *basta!* do stróżów i woźnych, pragnących dla swych dzieci nauki, nie przypuszczają, że słowo polskie: *wyjść* nie posiada imiesłowu biernego i piszą: „przyniesiono mi *wyszły* właśnie z pod prasy numer *Kur. W.?*“ Może wymaganie za wielkie? No, mamy i takich redaktorów, którzy pokończyli tylko szkółki elementarne i którzy—to jest najlepsze!—wyrzucają nieuctwo swym przeciwnikom i rozstrzygają wiekowe spory filozoficzne. Są nawet między nimi po prostu idyoci, których pierwszy lepszy figlarz może złapać w pułapkę i przekonać, że np. Sevigné była przyjaciółką Epikura i pisała wraz z nim artykuły przeciwko Talmudowi. Jeżeli zaś tak wygląda wyższa fala naszej inteligencyi, czy podobna żądać od toczących się spodem mętów, ażeby wyrzuciły z siebie—wiarę w węże? Wszakże nietylko ciemny lud, ale i średnie warstwy społeczne karmione są ustawicznie najrozmaitszego rodzaju bajdami, każdy „poważny organ“ uważa sobie za święty obowiązek wpędzać je w trzęsawiska przesądów, utrzymywać przy tem „moralnem dziedzictwie,“ z którego wywłaszczanie jest „zbrodnią“ prasy postępowej — „nihilizmem.“ Gdybym ja był stróżem t. z. „puklerza“ i „jedynego portu,“ widząc tłumy zebrane przed szpitalem, powiedziałbym sobie: „bardzo dobrze, bardzo dobrze, masy „puklerza“ nie zrzuciły — a w tem jest odrobina i mojej zasługi.“ Ale nasi „jezuici we frakach“ nie zawsze lubią zjadać owoce własnego szczepu. Utrzymać ogół w mroku chcą, ale gdy chłop wyciągnie z grobu trupa i odetnie mu głowę dla wywołania w krowie obfitszego mleka, gdy zamiast ratować płonący dom, rzuci weń sól czarodziejską, gdy lud zgromadzi się dla zobaczenia węża u kobiecej piersi— to nie są plony ich zasiewu, temu... nie winien nikt (liberałów oskarżyć trudno) — chyba dyabeł. Czasem tylko z ochrypłych od wstecznej komendy gardzieł wyrwie się krzyk: światła — więcej światła!

Powtarzam zawsze: trzeba być nieprzyjacielem własnego szczęścia i wygody, ażeby u nas nie zostać konserwatystą. Rycerz tego znaku może łamać po cichu wszystkie obowiązki i prawa, a pomimo to nie przestanie być szanowanym. Jego głupota będzie się nazywała powagą, brutalstwo — zerworem, zaciekłość — sprawiedliwem oburzeniem. Gdyby chorągiew postępową wywiesiło takie pismo, jak *Niwa*, ta Etna wybuchająca błotem, ta korsarska łódź, wypływająca ze swej szlacheckiej wysepki na dziurawienie statków, wiozących płody spokojnej pracy — ochrzczonoby je niezawodnie „rewolwerowem“ i „rynsztokowem.“ A przecież *Niwa* wraz z *Biblioteką Warsz.* i *Ateneum* zaliczaną bywa do organów „poważnych.“ Weźmy przykład świeży. Niedawno zamieściła ona z lekkiego ducha poczęty artykuł p. t. „Proletaryat naukowy“ — przeciwko nadmiarowi wiedzy wyższej u nas. Musiało w nim roić się dużo szkodliwych bąków, kiedy Kraszewski, ów gołębiego serca Kraszewski, który nikogo zaczepiać nie zwykł a pochwały mierzy z czubem, porównał autora artykułu do człowieka, „którzyby pogasił świece, obawiając się ognia i dowodził szkodliwości jego pożarem.“ Jakże odpowiedziano *grzecznie* człowiekowi, który promienieje tyloma zasługami? Odpowiedziano mu śród drwin, że opinię na *Niwę* „szczuje“ i że spór „ze starcem chorym i zlękanym“ byłby „niewłaściwy.“ Proszę wyobrazić sobie, że w ten sposób zakończyła polemikę z Kraszewskim... *Prawda*! Co by to było! Co! Zaraz zobaczymy. Jakkolwiek p. Sienkiewicz już podszrubowany został bardzo wysoko, jednakże Kraszewskim jeszcze nie jest. Otóż w nr. 3 *Prawda* pozwoliła sobie zaznaczyć, że język rusiński, którym mówią jego bohaterowie, nie jest poprawnym. Autor tej uwagi został naprzód zburczony przez nietykalnego p. Sienkiewicza a następnie *Niwa* rzekła: „Domyślać się łatwo, że idzie tu poprostu o *usmarowanie błotem* niepospolitego artysty-pisarza, którego wielki talent i rychło zdobyta sława wielu bardzo *wyrobnikom pióra* stają solą w oku a szydłem w gardle... W granicach ogólnie obowiązującego, oficyalnego państwowego porządku istnieć musi drugi — normalny, którego hierarchiczne szczeble stanowią: cnota, rozum, talent, zasługa, słowem — wpływowa powaga, wspierająca się na indywidualnych jakościach, stanowiących pewien rodzaj wytyczni, przykładowych wskazówek dla ilości.“ Nieposzanowanie i podkopywanie wszelkiej „powagi“ jest uczynkiem „występnym;“ „wszelka junakierya czczej pychy... poczytywaną być winna za pewien rodzaj moralnego nihilizmu.“ A gdyby tylko nas, współpracowników *Prawdy*, dopuścić tam, gdzie nam „na szczęście dojść trudno,“ to „rychło bardzo poszlibyśmy o lepsze z *Albą* i *Torquemadą*, z Cromvellem i Maratem, z Rigaultem i Cluseretem.“ Krótko mówiąc: jeśli dalej będziemy robili uwagi p. Sienkiewiczowi, to: „społeczeństwo ogarnie zgnilizna“ i „moralny nihilizm“ a my będziemy niedonoszonym zawiązkiem Torquemadów, Maratów, Cromvellów itd. Czyli: p. Jackowi Soplicy z *Niwy* Piekarski na mękach bardzo nisko się kłania. Z tego wściekle humorystycznego wywodu sens moralny wyciągnąć można tylko taki: nigdy klika z bezwzględniejszą zuchwałością nie broniła swych niskich interesów i nigdy z większą poniewierką pracy i zasługi przeciwników nie forytowała swoich protegowanych, jak to czyni wielkopańska czeladka z *Niwy*. Przed kilku miesiącami pismo to przytoczyło skargę *Kuryera poznańskiego* (nadesłaną z Warszawy) na obojętność względem p. Sienkiewicza, na którego cześć „nie zapieje żaden szczygieł literacki, żaden dziennikarz *choćby kilku słowy* nie zwróci uwagi czytelników na jego znakomite dzieło (*Ogniem i mieczem*).“ Ponieważ są gazety „poważne i bezstronne,“ które zamieszczając artykuły wstępne o przejeździe pułkownika bulgarskiego przez Warszawę, nie wspomniały dotąd (po 3 latach) o *Prawdzie*; ponieważ są organa, które ją *tylko* czernią (*Niwa*) i *nigdy* nie znalazły ani jednego słowa uznania dla niej; ponieważ p. Sienkiewicz jeszcze nie ukończył swej powieści, a już ona jest oklaskiwaną, ilustrowaną, głoszoną za „znakomite dzieło;“ ponieważ autor ten z bezprzykładną nawet w naszej literaturze stronnością jest tak dalece reklamowanym, że przez połowę prasy przebiegła wiadomość o jego „tryumfie w kuchni wiedeńskiej,“ gdzie popłynąć miały łzy z oczu kucharki, czytającej *Janka muzykanta* — tylko więc rozbrykana bezczelność może wyrzucać społeczeństwu lekceważenie p. Sienkiewicza a prasę liberalną szkalować za milczenie o jego utworze, który dopiero się drukuje. Naszych utworów po kilka lat nie zamieszczano nawet w bibliografii, a jednak nie protestowaliśmy. Chociaż p. Sienkiewicz tyle złożył nam dowodów swej „bezstronności,“ że jednego razu nas zwymyślał w *Słowie*, a drugiego — zamieścił cudze wymyślanie i chociaż cała jego publicystyczna działalność jest dla nas wstrętną, przyznamy zawsze, że jest to powieściopisarz bardzo zdolny i pozostawi literaturze utwory bardzo piękne. Nie znaczy to przecież, ażebyśmy wraz z jego przyjacielską gawiedzią uważali go za „fenomen,“ ażebyśmy nie mieli prawa do krytyki. Ma on być dla nas „solą w oku i szydłem w gardle.“ Dla kogo? — proszę pana, nie—„wyrobnika“ z *Niwy*? Czy dla usunięcia podejrzeń wystarczy oświadczenie, że przyznajemy mu wyższość nad wszystkimi nowelistami *Prawdy*? Po tej deklaracyi, czemże nas kłuć może? Redakdaktorstwem *Słowa*? Nie zazdrościmy. Nieszczęściem p. Sienkiewicza nie jest prasa liberalna, ale głupkowaty chór, który zamiast szerzyć wartość utalentowanego przyjaciela, ośmiesza go przesadą pochwał i niezręcznem ich egzekwowaniem u przeciwników. Dzięki temu chórowi forsownie protegowany budzi w literaturze przeciw sobie reakcyę, budzi opór przeciw temu niecierpliwemu dyskontowaniu sławy. Gdyby on napisał tylko *Szkice węglem*, utwór znakomity, już byśmy mieli dostateczny powód cenić jego talent. Ale bez uczuwania soli i szydła nie możemy i nie potrzebujemy wypłacać mu tego, czego nie zarobił. *Prawda* „systematycznie“ napada go — i ta sama *Prawda* wkrótce pomieści szerszy rozbiór całej jego działalności, podczas gdy czytelnicy *Niwy* znają go tylko jako bohatera czczonego wierzganiem ku ościeniom prasy postępowej.

Szanowna Etno więc, nie rzucaj na nas swej błotnistej lawy. Jeśli sądzisz, że po drabinie paszkwilu na przeciwników wprowadzisz przyjaciela do Olimpu, to bardzo się mylisz: oni nie będą przez to ani o włos niżsi, a on ani o włos wyższym. Szlachecki kociołek, w którym gotuje się rosół z pana Mścisława i Jacka, niech nie przygania garnkowi, w którym siedzą postępowcy, bo może wnuki tych panów z linii żeńskiej nie będą znali nazwisk swych dziadów, gdy niejeden postępowiec jakiś kącik w literaturze dostanie. Wogóle mniej „ferworu,“ a właściwie łajaniny, panowie dobosze „zwartego zastępu,“ który dotąd na jedną szpilkę nadziany końców jej nie pokrywa, bo tacy znakomici mężowie, tacy „nienajemnicy“ i „niewyrobnicy,“ tacy „niezależni“ — głośno krzyczeć i szkalować ludzi nie powinni.

W tej chwili odbieram premium *Echa muzycznego i teatralnego* — sześć portretów: Arigo Boïto, Patti, Pailleron, Modrzejewska, Żółkowski i—Sienkiewicz.

Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

Porcyę wymyślań za to w kuchi *Niwy*— „staluję.“

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Kielce. Założoną ma być szkoła rzemieślnicza, na wzór istniejącej w Warszawie przy ulicy Jasnej. Etat wynosi 3,200 rs., z których połowę płaci rząd a połowę miasto.

Brześć. Policya otrzymała wiadomość, że w zajeździe niejakiego Leiby Merkutera znajdują się kradzione konie. Komisarz z dwoma pomocnikami i kilkoma policyantami poszedł odbyć rewizyę; w jednym z numerów został 8 żydów, którzy natychmiast rzucili się na niego, a niektórzy zaczęli strzelać z rewolwerów. Pomocnik komisarza raniony został kulą w piersi. Złoczyńcy zbiegli, prócz jednego.

Białystok. Znajduje się w mieście przeszło 40 dorożek, utrzymywanych przez żydów; chrześcian niema, tylko w piątek po zachodzie słońca i w sobotę jeżdżą mieszczanie i to z rozkazu władzy policyjnej. Żaden z nich jednak po skończeniu się szabasu za nic w świecie nie pojedzie, bo wie, że albo zbiją go za to, albo, co częściej się zdarzało; pokaleczą mu lub otrują konie.

Piaseczno. We wsi Łubno znaleziono bogate pokłady glinki terrakottowej. Zdunowie warszawscy zakontraktowali jej kilka tysięcy fur za 36.000 rs. Właściciel majątku zamierza sam eksploatować pokład i założyć fabrykę posadzek.

Ihumen. Przed paru miesiącami zjawił się w powiecie nieznany człowiek, namawiający włościan do przesiedlania się na Syberyę, obiecując im, że otrzymają bezpłatnie ziemię. Policya schwytała go i uwięziła; na wiadomość o tem przeszło trzy tysiące włościan zebrało się w mieście, żądając uwolnienia ujętego. Dotychczas jeszcze ludu nie zdołano uspokoić.

Białacerkiew. W ostatnich dniach stycznia rozlepiono plakaty, wzywające do bicia żydów. Amatorów nie zabrakło, bo nad wieczorem zgromadziło się z półtorasta osób, otwarcie wyrażających swe zamiary, policya jednak nie dopuściła do zaburzeń.

Kijów. Istnieje tu stowarzyszenie „pijaków“ niemające, co prawda, pisanych statutów i nie zatwierdzone przez nikogo, ale zorganizowane ściśle. Członkowie jego postępować winni według stale przyjętych zasad, np. pić tylko „czystą,“ nie wychodzić w stanie opilstwa na ulicę itd. Towarzystwo w pewnych odstępach czasu odbywa swe posiedzenia. Niedawno przyjmowało ono dostojnego gościa, uważanego za najsławniejszego pijaka w całej Rosyi. Jegomość ten oświadczył, że przyjechał, aby zobaczyć jak piją „chochły“ i został podobno zachwycony ich zdolnościami.

Węgrów. Włościanie tutejsi nabywają obecnie żniwiarki na wspólną własność, korzystać z nich mają zbiorowo. Świadczy to o poczuciu solidarności i zrozumieniu własnego interesu. Użycie żniwiarek wymaga jednak płaskiej uprawy i większych łanów, łatwo więc doprowadzić może do wspólnej gospodarki jedynie z podziałem produktów.

Mohylew Podolski. Powstają w powiecie dwie fabryki do przerobu fosforytów na superfosfaty; jedna z nich w Derażnie prowadzona będzie na wielką skalę.

Koło. Założona przed kilku laty szkoła realna czteroklasowa nie miała własnego domu. Obecnie prezes zarządu dał materyał budowlany, jeden z rejentów pożyczył 3,000 rs., dla dopełnienia zaś brakujących funduszów wydano bal, który przyniósł 1,000 rs. dochodu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 20 lutego.

Ministeryum Ferrego poniosło znowu częściową porażkę. Przy głosowaniu nad wniesionem przez rząd prawem o stłumianiu zaburzeń ulicznych, deputowany ze skrajnej lewicy Goblet wniósł poprawkę, żądającą, żeby sprawy tego rodzaju rozstrzygane były przez przysięgłych a nie przez sądy policyi poprawczej. Pomimo opozycyi ze strony ministra spraw wewnętrznych, wniosek Gobleta przeszedł znaczną większością głosów.

Działania wojenne w Tonkinie rozpocząć się mają niebawem w szerszych rozmiarach. Pozwalają na to przybyłe posiłki a wymordowanie chrześcian w wielu miejscowościach Chin i Anamu czyni przedsięwzięcie energicznych kroków koniecznem. Pierwszy atak skierowany ma być na Bak-Ninh, silnie obsadzony przez chińczyków. Poprzednio już rząd państwa niebieskiego oświadczył, że uważać będzie zajęcie tej twierdzy za *casus belli*, obecnie poseł chiński otrzymał rozkaz na pierwszą wiadomość o ataku francuzów zażądać paszportów.

Nieprzyjemności, jakie ściągnąć może na siebie Francya w Tonkinie niczem są w porównaniu z kłopotami rządu angielskiego w kwestyi sudańskiej. Niezadowolenie z tego powodu wzrasta; meetyngi uchwalają rezolucye nieprzychylne dla gabinetu, a na domiar przykrości, które zwykle w parze chodzą—Merw, ów sławny Merw, uważany za klucz do Indyi, przyjął poddaństwo rosyjskie. Generał Komarow przysłał do Petersburga telegram, w którym donosi, że zebrani w Ashabadzie chanowie czterech plemion turkmenów i pełnomocnicy narodu merwskiego przyjęli bezwarunkowe poddaństwo i złożyli przysięgę na wierność Cesarzowi rosyjskiemu. Do kroku tego „skłoniło ich przekonanie, że sami rządzić sobą nie zdołają i że tylko silny rząd (rosyjski) może zaprowadzić ład i utrwalić w Merwie porządek i pomyślność.“ Dzienniki rosyjskie pełne są zachwytu, natomiast angielskie nadrabiają miną i tłomaczą, że nie wiele ich to obchodzi.

Wiedeńska Rada państwa większością 40 głosów przyjęła projekt rządowy o zaprowadzeniu stanu wyjątkowego w Wiedniu i okolicy. Jakkolwiek lewica postanowiła głosować solidarnie, część jej, mianowicie t. z. *cavaliere* t. j. arystokraci centraliści oświadczyli się za prawem. Od głosowania powstrzymało się 5 polaków i kilku młodo-czechów.

Cesarz zatwierdził uchwałę sejmową rozszerzającą okres wyborczy rad powiatowych i gminnych w Galicyi z lat 3 na 6. Było to oddawna gorącem pragnieniem stańczyków, czyli jak się górnolotnie wyraża *Kuryer warszawski* „tej warstwy ludności, która wyobraża pierwiastek porządku i organizacyi prawidłowej.“ W bieżącym roku w wielu powiatach następują wybory i członkowie rad, chociażby najnieudolniejsi, przez 6 lat bez możności zmiany piastować będą rządy, co prawda, sprowadzone do dosyć skromnych rozmiarów.

Dzienniki niemieckie po raz setny chyba podają nowe szczegóły ugody z Watykanem i głoszą prędkie jej urzeczywistnienie. Pomimo to listy gończe przeciw Ledochowskiemu wydane zostały znowu.

W Serbii gabinet się zmienił. Postępowcy, którzy na wyborach otrzymali 70 głosów, zażądali, żeby 44 członków skupczyny, których mianowanie należy do rządu, wybrano z ich partyi. Oparł się temu Christicz, chciał bowiem, żeby rząd wezwał stronników porządku, bez wybitnego odcienia politycznego.

Król udzielił mu dymisyę i Garaszaninowi polecił uformować ministeryum, złożone z postępowców.

Około miasteczka Corvetto, do pociągu wiozącego króla włoskiego wystrzelono kilkakrotnie. Sprawców zamachu było podobno 4, ale jeden tylko został schwytany. Cała ta sprawa wygląda trochę na farsę, albo na bezmyślny postępek waryata.

Odesa. General-gubernator wydał przepisy, mające na celu zabezpieczanie porządku państwowego. Miasto zostało podzielone na 500 rewirów, w każdym z nich właściciele domów obowiązani są utrzymywać dwóch specyalnych stróżów. Fabrykanci i właściciele zakładów przemysłowych winni czuwać, żeby propagatorowie szkodliwych zasad nie działali w pośród robotników. To samo stosuje się i do zwierzchności szkolnej. Jednocześnie kurator zabronił uczniom bywać na posiedzeniach w sądzie, w teatrach i w bibliotekach.

Nowo-Czerkask. Tłum włościan napadł na folwark jednego z bogatych hodowców owiec. Napastników odparto wystrzałami z broni palnej. Na miejsce zajścia wysłano oddział kozaków.

CUDZE GŁOSY.

Dniewnik Warszawskij przytacza z *Narodnich listów* opis zajścia w pruskim landtagu podczas rozpraw o budżecie ministeryum oświecenia. Minister Gossler, odpowiadając Kantakowi, zauważył, że język niemiecki na Szląsku wciąż jeszcze walczyć musi z polskim:

„Ale przecie Szląsk jest polską ziemią, zawołali polscy posłowie. Minister Gossler odparł: bynajmniej, Szląsk jest ziemią niemiecką. Poseł Tiedemann zwrócił się następnie do polaków, mówiąc: „Znajomość języka niemieckiego jest pożyteczną, sami rodzice polacy żądają, żeby uczyły się go ich dzieci. My chcemy niemczyć, wy zaś—polszczyć. Na nieszczęście, wy, polacy, nie chcecie uznać państwa niemieckiego. Wasz cel główny—to zawsze jeszcze połączona Polska. Ale czyż możecie być tak zaślepieni, żeby myśleć, iż cesarstwo niemieckie zrzecze się dobrowolnie ziem niemieckich? Albo czyż myślicie zdobyć je siłą? (Głosy z polskiej strony: przyjdą rosyanie—wtedy oddacie). Tak, kończy mówca, oto czego domagacie się, chcecie wciągnąć nas do wojny z Rosyą, ażeby łowić ryby w mętnej wodzie?“ Poseł Kantak zauważył, że on nie pragnie wywołać wojny między Niemcami i Rosyą, ale jeżeli będzie na to wola boża, żeby część Polski odpadła od Niemiec, to czyż p. Tiedemann zechce się sprzeciwić tej woli?“

Budżet państwa
(na rok 1884).

W *Praw. Wiestniku* podanym został do powszechnej wiadomości budżet państwowy na rok bieżący, wraz z przedstawieniem p. ministra skarbu, objaśniającem główniejsze pozycye. Z porównania cyfr obecnych z zeszłorocznemi wykazuje, że ogólna liczba dochodów zwyczajnych wynosiła w roku 1883 rubli 700,038,007, na rok 1884 zaproponowano 709,778,153, czyli więcej rs. 9,740,146. Wydatki zwyczajne w r. 1883 rs. 708,871,402, obecnie — 721,382,006 (więcej o 12,510,604) — czyli wydatki przewidywane przewyższają dochody o rubli 11,603,853.

Pomijając dział dochodów i wydatków obrotowych, jako mający znaczenie więcej formalne, znajdujemy w budżecie nader poważną rubrykę nadzwyczajnych, z których pierwsze wynoszą rs. 86,264,979, drugie zaś 74,661,126. W dziale dochodów zwyczajnych zasługuje na uwagę zmniejszenie o 15½ milionów cyfry podatku podusznego, które ma się powtarzać corocznie, aż do całkowitego uchylenia tej daniny, w miarę zastąpienia jej innemi źródłami. Oprócz tego zauważyliśmy dość znaczny, a niezupełnie dla nas zrozumiały ubytek w dochodach ministeryum dóbr państwa, a mianowicie z lasów rządowych rs. 1,275,677 a z górnictwa 1,321,600.

Podwyżkę za to dały wszelkie dochody niestałe, jak: akcyza od trunków, tytoniu, cukru, opłaty sądowe i od aktów notaryalnych, dochód od kolei żelaznych.

Zwiększenie rozchodów pochodzi głównie z podwyższenia opłat procentów od długów państwowych o całe prawie 7 mil., oraz z innych mniejszych podwyżek w wydatkach pojedynczych ministeryów, jak: marynarki o 3 mil., wojny o 1,3 mil. rs. i innych.

Wydatki nadzwyczajne mają być przeznaczone: na budowę kolei żelaznych i portów, w ilości rs. 24,661,126, oraz na umorzenie części biletów kredytowych, puszczonych w obieg podczas woj-

ny wschodniej 50 mil. rs. (będzie to już trzecia rata amortyzacyjna, gdyż i w dwóch latach poprzednich były na ten przedmiot wyznaczone takie same kwoty).

Na pokrycie owych wydatków nadzwyczajnych (74,661,126 rs.), oraz deficytu w budżecie zwyczajnym (11,603,853 rs.), mają być użyte tak zwane dochody nadzwyczajne: 1) pochodzące w części z kontrybucyi wojennej (od Turcyi i Chiwy), gotowizny kasowej, oraz przelanego do skarbu państwa funduszu kolejowego rubli 30,125,000; 2) w części z realizacyi nowej renty złotej 6% i z nowej emisyi biletów skarbowych (tak zwanych w obiegu seryj) rubli 47,600,000, i 3) w części nareszcie z funduszów, jakie dadzą się osiągnąć jeszcze przy pomocy nowych operacyj kredytowych (9,733,339 rs.).

Dołączone do budżetu przedstawienie zasługuje na szczególną uwagę, ze względu, iż p. minister, nie poprzestając na wyjaśnieniu różnic budżetowych, wypowiada tu pogląd swój na położenie finansowe, tudzież na środki niezbędne do zrównoważenia dochodów z wydatkami i do uchylenia deficytu.

Deficyt ten, podług objaśnienia p. ministra, powstał nietylko skutkiem braku dochodów zwyczajnych na pokrycie przewidywanych wydatków, ale także skutkiem przeniesienia do zwyczajnego budżetu wielu takich rozchodów, które aczkolwiek noszą nazwę nadzwyczajnych i nadbudżetowych, powtarzały się jednak z roku na rok, wyczerpując wcale poważną cyfrę wpływów państwowych.

Pomimo to jednak p. minister, uznając fakt istnienia deficytu, uważa za powinność swą wynaleźć odpowiednie źródła dla pokrycia go. Zalicza do nich przedewszystkiem podwyżkę dochodu stemplowego, oczekiwaną skutkiem zamierzonego wprowadzenia w Królestwie Polskiem ogólnej ustawy stemplowej Cesarstwa, oraz wpływy z nowego podatku procentowego od większych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych.

Co do pierwszego z pomienionych źródeł, nie wiemy jeszcze na pewno, od jakiego mianowicie czasu nastąpi zastosowanie u nas ogólnej ustawy stemplowej, ani jaką ona da podwyżkę dochodu. W każdym razie opłaty stemplowe i inne, pobierane podług ustaw Cesarstwa od aktów notaryalnych i sądowych, o wiele przerastają takież opłaty u nas. Lecz ponieważ z wprowadzeniem nowej ustawy sporządzenie wszelkiego rodzaju umów i aktów, stanie się w dwójnasób droższem, więc może to bardzo wpłynąć na zmniejszenie samej ilości umów i aktów, któremi obecnie panowie przedsiębiorcy różnego rodzaju i pokątni doradcy szafują do zbytku*).

Co do rubryki rozchodów nadzwyczajnych, zauważył p. minister, że wydatek roczny po 50 mil., który ma się powtarzać aż do r. 1888 włącznie, z natury swej stanowi tylko zamianę istniejącego długu nieprocentowego na procentowy, niemniej przeto pada całym ciężarem na skarb państwa i zmusza go udawać się do źródeł nadzwyczajnych.

Twierdzenie to p. ministra znajduje podstawę w przytoczonych wyżej cyfrach dochodów nadzwyczajnych, pomiędzy któremi 47,600,000 pochodzą z realizacyi nowych pożyczek, a $9\frac{1}{3}$ mil. spodziewane są z innych jeszcze operacyi kredytowych.

Drugą niemniej ważną pozycyę wydatków nadzwyczajnych stanowi budowa, kosztem państwa, kolei żelaznych. W latach poprzednich dokonano lub zatwierdzono tych przedsiębiorstw na sumę 48 mil. Nadto poczyniono na ten przedmiot awanse, pokrywane przez emisyę obligacyj, których suma ogólna wynosi obecnie 116,4 mil. Wydatki te, jakkolwiek z czasem mają być zwrócone skarbowi państwa, w chwili obecnej z funduszów budżetu zwyczajnego pokryte być nie mogą. Okoliczność ta pozostaje w związku z całkowitem zniesieniem tak zwanego funduszu kolejowego, gdyż on z powodu wyczerpania swego, nie mógł już egzystować samoistnie, lecz brał zapomogi ze skarbu, któremu zadłużył się na 95 mil. Dlatego też p. minister czyni uwagę, że gdyby towarzystwa kolejowe zwróciły skarbowi cząstki ciążby dziesiątą część pożyczek, udzielonych im na rachunek kapitałów obligacyjnych, to ministeryum skarbu nie byłoby zmuszonem w chwili obecnej obmyślać innych środków do pokrycia brakującej na rok bieżący sumy $9\frac{1}{3}$ mil. rs.

Dalej znajdujemy rzut oka na reformy podatkowe, dokonane już dla ustanowienia sprawiedliwszego rozkładu podatków. Do nich zalicza p. minister: uchylenie podatku podusznego od mieszczan (jeszcze w r. 1862), zastąpienie części podusznego ziemskiego gruntowym (od r. 1875), uchylenie podatku od soli, zmniejszenie opłat wykupowych, oraz częściowe zniesienie podusznego od włościan. Natomiast mają być wprowadzone nowe lub podwyższone już istniejące podatki na sumę około 85 mil., co do których projekty odnośne już są przedstawione Radzie Państwa, lub w krótkiem czasie będą. Z tego powodu przypomina p. minister, że pomimo głównego celu, jaki miano przy ustanowieniu nowych podatków, a mianowicie ustosunkowania ich do dochodu i zamożności kontrybuentów, ministeryum skarbu nie mogło zdecydować się na zaprowadzenie niezwłoczne podatku dochodowego, gdyż cel ten, zdaniem jego, może być osiągniętym bez wywołania ogólnego wstrząśnienia istniejących stosunków ekonomicznych.

Jako okoliczność, wywierającą wpływ niekorzystny na podwyżkę dochodów budżetowych, p. minister wymienia obniżkę cen zboża, skutkiem współzawodnictwa ze Stanami Zjednoczonymi, Kanadą i nawet Indyami Wschodniemi. Brak gotowizny, wywołany stagnacyą zbożową, od rolników odbił się na kupcach i przemysłowcach. Wiele gałęzi przemysłu krajowego, jak: fabryki relsów kolejowych, wagonów, przemysł bawełniany i inne, ucierpiały skutkiem nadmiernej produkcyi bez odbytu.

Dla podtrzymania przemysłu krajowego zmieniono taryfę celną; zmiana ta nader korzystnie wpłynęła na odbyt towarów krajowych, lecz, niestety — według słów p. ministra — protekcya ta przyczyniła się dotychczas więcej do wytworzenia nowych gałęzi przemysłu w pograniczach (okrainach), aniżeli w środku kraju.

*) O podatku procentowym w nr. 40 *Prawdy* z roku zeszłego.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zmiana. Inspektor rządowy dróg żelaznych w Królestwie zalecił, żeby na przyszłość wszystkie dowody i kwity wydawane pasażerom, pisane i drukowane były oprócz polskiego w języku rosyjskim, oraz żeby wszyscy urzędnicy kolejowi mający styczność z publicznością udowodnili dokładną znajomość języka rosyjskiego. Przepis ten dotyczy szczególnie dróg warszawsko-wiedeńskiej i bydgoskiej, łódzkiej i terespolskiej, na których wszystkie czynności urzędowe załatwiane były w języku polskim.

Spółka. Grono literatów zawiązało rejentalnie „Spółkę nakładową warszawską,“ mającą na celu energiczną działalność wydawniczą. Zamierzono wkrótce wydać *Etykę* Spencera oraz kilka prac oryginalnych.

Sztuka. Ze współczesnej miniatury, znajdującej się w zbiorach L. Chodźki, p. Maleszewski odmalował podobiznę Kościuszki, którą na kamień przeniósł p. W. Walkiewicz. Oleodruk tego obrazu, wykonany w zakładzie litograficznym p. Plewińskiego, a posiadający wiele wdzięku, ukazał się na widok publiczny.

— Tygodnik *Echo muz. i teatr.* wydał, jako premium dla swych abonentów, sześć bardzo ładnych światłodruków, wykonanych według klisz Mieczkowskiego—w Dreznie. Nowość szczęśliwa.

Teatr. W Teatrze Małym przedstawiono „żart sceniczny“ M. Wołowskiego p. t. *Mam go!* Utwór ten, napisany bez prawdy, bez obserwacyi, bez dowcipu, rzucony na papier i deski sceniczne bez namysłu — naraził autora nie na „żarty“ ze strony krytyki. My go rozbierać nie będziemy.

Grobowiec Bolesława Śmiałego. Proboszcz Ossiachu, A. Kraintz, kwitując nas w liście z odebranych składek, pisze: „Restauracya grobowca, według budowniczego Stipapergera, kosztować będzie 258 zlr. 99 cent. Do sumy tej jednak nie wchodzi odnowienie wizerunku, znajdującego się na zewnętrznej ścianie kościoła po nad grobowcem. Pominęliśmy ten koszt w nadziei, że może słynny malarz Matejko lub inny znakomity artysta polski da się nakłonić do tej pracy. Powyższa suma (258 z. 99 c.) jest już zebrana. Prezydent Krakowa, zgodnie z uchwałą magistratu, nadesłał 16 grudnia 125 zł. 17 c., a nadto w piśmie z d. 1 stycznia 1884 r. zapytał, czy wizerunek można zdjąć i przewieźć (na co odpowiedziałem twierdząco), przyczem oświadczył, że trudno byłoby zjednać Matejkę do odświeżenia obrazu, ale że on to powierzy malarzowi H. Jabłońskiemu lub S. Świerzyńskiemu. Dotąd jednak nie otrzymałem żadnej wiadomości, czy mam obraz do Krakowa wysłać, czy też nie. Skutkiem kwoty ofiarowanej z Krakowa koszta restauracyi grobowca są już pokryte, wniesiona zaś przez *Prawdę* suma 157 zlr. przekracza granicę, co jest tem bardziej pożądanem, że wydatki obliczone zostały bardzo skąpo i możeby nie starczyły. Grobowiec, otaczająca go krata, oraz wizerunek znajdują się na zewnętrznej ścianie kościoła, która koniecznie wymaga naprawy. Na to właśnie użyję ofiar z *Prawdy*. Po ukończeniu odnowienia prześlę Panu sprawozdanie i rachunek. Tymczasem dziękuję za gorące zajęcie się tem dziełem narodowem i za poniesione dlań trudy, a zarazem dołączam wszystkim ofiarodawcom szlachetnego narodu polskiego serdeczne dzięki.“

Składki zatem na odnowienie grobowca Bolesława Śmiałego zamykamy.

Zapis. Zmarła w roku zeszłym Paulina Radzimińska zapisała dobra Rytomoczydła, wartujące około 300,000 rs. na cele oświaty. Z dochodów majątku wydawane będą stypendya: 4 dla uczniów gimnazyalnych lub kształcących się w zakładach naukowych prywatnych po 187 rs. 50 kop. każde; trzy po 250 dla uczennic średnich zakładów naukowych, bądź rządowych, bądź prywatnych; dwa po 375 rs. dla studentów uniwersytetu i jedno na takąż samą sumę dla studenta zakładu agronomicznego lub technologicznego, inżenierskiego itd. Oprócz tego 150 rs. zapomogi dla b. żołnierzy, pochodzących z Rytomoczydeł. Stypendya nie wyczerpują dziś całego dochodu, w miarę zaś jego wzrostu tworzone będą nowe. Testament szczegółowo i rozumnie określa administracyę zapisu. Nie pierwszy to tak hojny dar na cele oświaty w ostatnich latach i znowu z ręki kobiety. Młodzież zawdzięcza im możność kształcenia się, lecz gdy dobije się stanowiska, żałuje skromnego datku na —oświatę kobiet!

Szkoły. Zarząd kolei Nadwiślańskiej zamierza urządzić szkoły dla dzieci służby kolejowej. Będą one istnieć co kilka stacyj, a dzieci dojeżdżać mają pociągami bezpłatnie.

— Szkoła szachistów powstaje w Poznaniu, co jednak zapewne nie przeszkodzi niemcom szachować nas w dalszym ciągu na polu życiowem i dać nam wreszcie mata.

Ministeryum handlu. W sferach rządowych poruszono znowu projekt utworzenia oddzielnego ministeryum handlu i przemysłu, podobno pod kierownictwem hr. Ignatiewa.

Z prasy. Na miejsce zawieszonego *Echa* ma powstać nowy wielki dziennik, ze znacznym podobno kapitałem!!

Kara prasowa. Cząstkowa sprzedaż numerów gazety *Nowosti* została zabronioną.

Pokład siarki dosyć bogaty odkryto w gub. kieleckiej we wsi Czarkowy.

Na indeksie znalazła się niespodziewanie *Ruś* p. Aksakowa. Kurator okręgu naukowego wileńskiego zabronił prenumeraty tego pisma w szkołach i bibliotekach, nawet w bibliotece publicznej w Wilnie. Jest to słuszna zresztą kara za potwarcze artykuły o propagandzie polskiej w szkołach na Litwie.

Wynaturzenie. W Paryżu niejaka pani Merenda wydała wielki bal „na cześć pięcioletniej swej córeczki, świeżo zaciągniętej w szeregi aniołków,“ tj. po prostu umarłej.

Gdzie ich niema? Przy robotach około kanału panamskiego zajętych jest około 12,000 robotników, w tej liczbie 140 polaków.

Handel żywem ciałem. W Odesie odkryto kilka agentur, prowadzących handel młodemi dziewczętami. Najczęściej porywają małe dzieci i odsyłają do Konstantynopola, ale zdarza się, że i dorosłe padają ofiarą i dostają się do haremów lub domów publicznych.

Kradzież dział. W Jałcie złodzieje ukradli dwie armaty, podarowane niegdyś ks. Woroncowowi.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

C. Wątek pańskiego utworu jest tak potargany, żeśmy z niego ani jednej myśli wysnuć nie mogli.

P. Kłopotowskiemu w Charkowie. Kasa Mianowskiego nam przesłała kwit pański z datą 22 listopada nr. 725.

P. J. Bojan. Za dużo... nocy, a za mało talentu.

Hipolitowi z pod C. Nie dla nas.

OFIARY.

Na Kasę Mianowskiego. Kłopotowski z Charkowa rs. 5.

Na poznańskie Tow. czytelni ludowych. Kłopotowski z Charkowa rs. 5; Julia Muraszkówna rs. 1.

Na wpis dla uczniów. Z ulicy Złotej pozostałe rs. 1 kop. 20.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Февраля 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**